

Bolesław Prus
*Ze
Wspomnień
Cyklisty*



Bolesław Prus

Ze wspomnień cyklisty



Fundacja Festina Lente

I

Najpierwej powiem słówko o naszym kasjerze, który potężny wpływ wywarł na moją przyszłość, ukazując nowy cel, nową drogę w życiu!...

Ze względu na powierzchowność — istnieje nieulegające kwestii podobieństwo między naszym kasjerem a pokoikiem, w którym mieści się kasa. Dziwny ten związek spostrzegłem nie tylko ja, ale wszyscy moi koledzy z buchalterii, nawet wszyscy urzędnicy banku.

Pokój kasowy ma szarozółte tapety, szarozółtą podłogę i szarozółte przepierzenie, nasz kasjer ma szarozółtą twarz, szarozółte kępkę włosów i żółtawe oczy. W pokoju znajdują się dwie szafy ogniotrwałe koloru brązowego i popielate chodniki na podłodze; nasz zaś kasjer nigdy inaczej nie ubiera się, tylko w brązowy surdut i popielate spodnie. Żelazny kufer podręczny, w którym leżą pieniądze na wydatki bieżące, jest polakierowany na zielono; podobnież kamizelka, którą nasz kasjer nosi na co dzień, ma także kolor zielony.

Jeżeli dodam, że sufit kasy jest biały, bez żadnych upiększeń, a wierzch głowy naszego kasjera jest łysy, bez żadnych dodatków, że oba okna pokoju są zakratowane i oba oczy kasjera zabezpieczone okularami, to już chyba nikt mnie nie posądzi o przesadę w upatrywaniu podobieństwa między kasjerem i pokojem.

Nie jest to akurat to samo, ale coś jest. Powiem krótko: człowiek ten na każdego pierwszego mógłby mieć po kilka awantur, gdyby... nie był kasjerem!... Jego władza nad ogniotrwałymi kasami i żelaznym kufrem, jego ciągłe, codzienne,

od rana do wieczora przestawanie z setkami tysięcy rubli; jego możliwość udzielania albo odmawiania zaliczek robią go wyższym od wszystkich innych urzędników bankowych, robią go nietykalnym, nieodpowiedzialnym... Każdy z nas, wszedłszy do kasy, na sam widok kasjera czuje się sparaliżowany, więc nie uważa jego drgających ust i rzucania papierami, nie słyszy rumotu odpychanych krzesel, otwieranego i zamykanego kufra, nawet nie myśli o niczym, chyba o tym, ażeby jeszcze bardziej nie rozgniewać pana kasjera, gdyż o podobaniu mu się, a choćby o uspokojeniu go, mowy być nie może.

Od dwudziestu lat, jak pan kasjer urzęduje u nas, tylko dwóch urzędników cieszyło się jego względami. Toteż jeden z nich został wicedyrektorem naszej filii, a drugi dyrektorem towarzystwa ubezpieczeń i każdy ma dziś po kilkanaście tysięcy rubli rocznie!

A teraz — czy uwierzy kto, że ja, ja, który to opowiadam, ja jestem trzecim, który posiadał — nie powiem: względy pana kasjera, bo do tego bardzo daleko, lecz posiadałem coś, jakby cię obietnicy na życzliwość — w późniejszych czasach. Trudno też dziwić się, że kilka ciepłych zdań wypowiedzianych przez takiego człowieka wpłynęło na całą moją przyszłość, otworzyło przede mną nowe widnokregi życiowe.

Kiedy sierpniem w południe zaszedłem do kasy, nasz kasjer kończył śniadanie, składające się, jak zwykle, z herbaty i bułeczki z szynką.

W pierwszej chwili pan kasjer udał, że mnie nie widzi, i — bardzo powoli — dopijał herbatę.

Następnie wytarł palce w bibułę i rzucił ją do kosza, a pustą szklanekę wystawił na zewnątrz drucianego przepierzenia kasy. Potem z głębokiego kufra wydobył garść banknotów i koszałkę ze złotem, a nareszcie sięgnął na półki i między papierami wyszukał kartkę, którą wysunął do mnie przez okienko.

— Podpisać!... — rzekł.

Podpisałem: „Anastazy Fitulski odebrał miesięczną pensję”.

— Złotem czy papierami?... — zapytał kasjer.

— Tym i tym, jeżeli pan łaskaw — odparłem.

Zaczął szybko liczyć, a jego żółte, hakowate palce biegały po pieniądzech jak po klawiszach fortepianu.

— Sto... sto siedemdziesiąt pięć... sto osiemdziesiąt...

Proszę... —mówił kasjer. — Oto urzędnik!... Piątego sierpnia odbiera pieniądze za lipiec... No, ale na takiego jednego mogę wymienić dziesięciu innych, którzy w sierpniu wzięliby pensję nawet za październik, gdyby znalazł się głupiec skory do zaliczenia!... Kanalie!...

— Może pan kasjer raczy przyjąć sześćdziesiąt rubli do mego fundusiku?... — wtrąciłem nieśmiało.

— Sześćdziesiąt?... — zapytał. — W zeszłym miesiącu odłożyłeś pan pięćdziesiąt i razem masz około dwu tysięcy. Młody chłopak, lat trzydziestu, pobiera sto osiemdziesiąt rubli miesięcznie i odłożył ze dwa tysiące gotówką. Ale inni w tym wieku, jeżeli dobrze pójdzie, umieją narobić ze dwadzieścia tysięcy rubli długu... Kanalie!... Ileż, u diabła, wydajesz pan na siebie? — zapytał, wypisując kwit na złożone sześćdziesiąt rubli.

— Panu kasjerowi powiem jak ojcu — odparłem, wzruszony pochwałami. — Na mieszkanie (dwa skromne pokoiki) wydaję dwadzieścia pięć rubli miesięcznie; żywność zaś z cukierniami i restauracjami (bo i tam człowiek niekiedy zabłądzi) kosztuje około trzydziestu pięciu rubli... No, a praczka, usługa, obuwie, odzież nie przekraczają czterdziestu rubli na miesiąc... Razem sto rubli, do których przybywa pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt odkładanych na oszczędność...

— A resztę wydaje się na dziewczęta?...

— Boże uchroni!... — zawołałem.

— Nie wmawiaj pan we mnie, że jesteś świętym!... — wybuchnął kasjer. — Ja przecie wiem, choćby z praktyki pańskich kolegów, co kosztują znajomości z damami...

— Boże uchwaj, panie kasjerze — odpowiedziałem, kłaniając się. — Świętym w rzeczy samej nie jestem, ale... Dla kobiety szlachetnej... dla kobiety szlachetnie myślącej wystarczy bukietik... pudełeczko cukierków...

— A tak, wystarcza, bo za resztę płaci mąż... — mruknął kasjer. — Niech was diabli porwą, kanalie!... Kradnie z cudzego ogrodu i na tym robi oszczędności!...

Na łyse czoło wystąpiły mu krople potu, a chude palce zginały się i prostowały jak szpony tygrysa. Źle mówię — szpony. Są to bowiem najdoskonalsze narzędzia do rachowania, które pan kasjer zanurza w stos banknotów albo w skrzynię metalowych pieniędzy i, prawie nie myśląc się, wydobywa tyle, ile z góry zapowiedział.

Tymczasem kasjer zapisał coś w małej książeczce i znowu mówił podrażniony:

— Kwiateczki i cukiereczki... Bodaj was paraliż tknął... Tak dłużej być nie może!... Jesteś pan za uczciwy i za mądry, ażeby polować do spółki z bandą łajdaków na cudze żony... Kto ma trzydzieści lat, parę tysięcy zaoszczędzonych, sto osiemdziesiąt rubli pensji miesięcznej i najlepsze widoki na awans, słyszy pan?... awans pana czeka... Możesz pan dojść nawet w naszym banku do trzech i czterech tysięcy rubli rocznie... Otóż, kto posiada takie warunki, nie powinien złodziejskim trybem sięgać do cudzych kas, ale jak przystało na porządnego człowieka i obywatela, ożenić się...

— Która by mnie tam panna zechciała?... — szepnąłem.

I w tej chwili przyszła mi na myśl panna Pelagia, córka naszego kasjera, osoba młoda, posażna i nadzwyczaj ukształcona, która wprawdzie miała nieco wypukłe oczy, ale za to włosy do samej ziemi.

— Co pan pleciesz — zawołał kasjer — która by cię zechciała?... Każda zechce, jeżeli ma w głowie rozum, a nie stare gazety!... Chłop trzydziestoletni, blondyn, oczy niebieskie,

zbudowany jak szafa ogniotrwała... Odebrał wykształcenie ogólne i fachowe, praktykował za granicą, w dodatku cyklista... Czego, u diabła, chcesz pan więcej?...

Przyznałem w duchu, że typ, który pan kasjer odmalował z takim przejęciem, najzupełniej odpowiada memu ideałowi porządnego człowieka i buchaltera. Bo naprawdę, czy może być coś więcej interesującego niż dobrze zbudowany blondyn, cyklista, z niebieskimi oczyma, niezłą pensją i widokami na przyszłość?

Tymczasem pan kasjer, układający papiery sturublowe, dwudziestopięciorublowe i dziesięciorublowe, mówił już spokojniejszym głosem:

— Świat jest to księga główna, w której każdy ma swój rachunek. Urodziłeś się, czyli dostałeś życie i rodziców, a więc: zapisać mu to na stronie „winien”. Pracują nad twoim wychowaniem, jedzeniem, ubraniem, mieszkaniem, ażebyś miał syto, ciepło i przestronno: znowu pisać mu po stronie „winien”. Potem, choć miliony innych siedzą w domu, pan dobrodziej jedziesz za granicę, tam kształcisz się dalej, widzisz piękne krajobrazy i mądre obyczaje, więc: znowuś „winien”. Nareszcie wracasz do kraju i, nie sfatygowawszy się zbytecznie, dostajesz wyborną posadę, płacisz za mieszkanie dwadzieścia pięć rubli, kiedy inni psiej budy nie mają nad głową, a na jedzenie wydajesz trzydzieści pięć rubli, kiedy inni muszą poprzestać na sześciogroszowych obiadach, więc znowu i to trzeba zapisać po stronie „winien”...

Za pozwoleniem!... — nagle wykrzyknął kasjer uderzając pięścią w stół. — Winien... winien... ciągle winien... Hola, mój panie!... Trzeba nareszcie coś zapisać na stronie „ma”, a więc przede wszystkim: ożenić się... Tobie dali życie, więc i ty daj życie... Ty miałeś rodziców, więc i twoim dzieciom musisz dać legalnych rodziców... To darmo... Nie można domu podrzutków zapełniać buchalterowiczami...

W miarę jak słuchałem, coraz jaśniej przed oczyma duszy zarysowywała mi się inteligentna twarz, wypukłe oczy i prześliczne włosy panny Pelagii. Uczułem lekki zamęt w głowie, przyjemne ciepło w sercu i, sam nie wiedząc, co robię, wyciągnąłem przez okienko w drutowanym przepierzeniu rękę do zacnego kasjera. Ale on nagłym odruchem cofnął się i drapieźnymi palcami zasłonił kieszonkę ze złotem.

Ruch ten trwał sekundę, może pół, ale było go dosyć dla wywołania zupełnej reakcji w mojej duszy. Jak zdmuchnięta świeca, zgasła wdzięczność, którą przed chwilą uczułem dla zacnego kasjera. Jego mechaniczna troskliwość o bankowe pieniądze wydała mi się prostactwem, a panna Pelagia, pomimo olbrzymiej inteligencji i jeszcze większych włosów, w mojej wyobraźni — osobą w całym znaczeniu brzydka. Jednym słowem, instynktowy odruch, za który nasz bank powinien był dać gratyfikację panu kasjerowi — zabił go w mojej opinii. A jednak nie dawniej niż przed kilkunastoma sekundami byłem gotów... zostać jego zięciem!...

No, zaraz zięciem!... Tak się tylko mówi... W każdym razie, o ile pochwały kasjera bardzo podniosły w moich oczach jego samego i jego córkę, o tyle zabezpieczenie kilkudziesięciu sztuk złota przed moją wyciągającą się ręką obrzydziło mi ich oboje. Muszę dodać, że pan kasjer w jednej chwili oprzytomniał, może nawet zmieszał się i mocno ściskając mnie, rzekł:

— Już pan chce odejść?... A ja mam jeszcze z kwadrans czasu...

— Ale ja nie mam — odpowiedziałem tak oschłym tonem, że aż samemu zrobiło mi się przykro.

Obrażać ojca dzieciom, starszego człowieka, kasjera!...

Powróciłem do swego biura, ażeby do piątej po południu zapisywać po stronie lewej, co nasz bank jest winien, a po prawej — co ma. Ale robota szła mi nieenergicznie, gdyż spoza

artykułów buchalteryjnych coraz to wysuwało się pytanie kasjera: dlaczego się nie żenię?...

To prawda: dlaczego ja dotychczas nie pomyślałem o ożenieniu się? Przecież chyba znalazłbym panienkę młodą, ładną, ukształconą, nawet posażną, a przynajmniej niewymagającą zbytków. Czy może mam serce zdrewniałe?...

Eh!... co tu dużo gadać. Wszyscy moi koledzy wiedzieli, że dla płci pięknej mam serce raczej za miękkie aniżeli zbyt twarde. Już nie mówię o tym, że każda choć trochę przystojniejsza dama z bliżej znajomych robi na mnie piekielne wrażenie. Ale niech tylko zobaczę na ulicy jakąś obcą, byle ładniejszą buzię albo zgrabniejszą figurkę, a natychmiast tracę spokój i jestem gotów za nią iść — bodajby na koniec świata!

Z tego przekonać się można, że ja lubię... co to lubię?... że ja uwielbiam płęć piękną. A jeżeli dotychczas nie pomyślałem o ożenieniu się, to chyba dlatego, że tak mnie czaruje ogół kobiet, iż żadną pojedynczą zająć się nie miałem czasu. I dopiero słowa kasjera obudziły mnie z zahipnotyzowania.

Gdyby nie wypadek z koszałką, może w tej chwili poważnie myślałbym o zbliżeniu się do panny Pelagii, choćby przez wdzięczność dla jej ojca za pochwały, jakich mi nie skąpił, i za zwrócenie uwagi na potrzebę zmiany stanu. Ale teraz... Nie mogę ofiarować moich uczuć córce człowieka, który choćby przez chwilę... przez sekundę... zasłaniał przede mną koszałkę z imperiałami jak przed złodziejem!

Zresztą, czy w Warszawie jest tylko jedna panna Pelagia i jej wypukłe oczy!...

A na przykład panna Henryka?... Jasna blondynka, może trochę za niska i za blada, ale jakie dystygowane ruchy, jaka słodycz w obejściu, a jak gra na fortepianie!... Trudno ją nazwać doskonałą pięknnością, jest tylko przystojną, lecz będzie miała ze trzydzieści tysięcy rubli posagu, ma zacnych i ustosunkowanych rodziców tudzież brata Włodka, który wprawdzie jeszcze nie zajął

wybitniejszego stanowiska między ludźmi, ale już obraca się w wytwornych towarzystwach.

Tego samego dnia złożyłem wizytę w domu panny Henryki, której nie widziałem od dwóch miesięcy; zaproszono mnie na herbatę i od tej pory przynajmniej dwa razy na tydzień odwiedzałem moją najukochańszą, moją jedyną, moją przyszłą... Moja przyszła... O boskie słowa!...

Czułem, że z każdą wizytą odkrywam w Henrysi jakąś nową zaletę. Cóż to za anielska łagodność... Jednego dnia, przy kolacji, dziewczyna usługująca wylała jej na błękitną sukienkę całą szklanekę herbaty. Henia żeby drgnęła. Nic, tylko zarumieniła się i rzekła cichym, słodkim głosem:

— Jakaś ty nieuważna, Marysiu!...

Jestem pewny, że sukienka była warta ze dwadzieścia rubli i że panna Henryka miała ją na sobie ze trzy, może ze cztery razy... Złota dziewczyna!...

Nie będę ukrywał: zakochałem się na śmierć. We wtorki i soboty prawie nie mogłem doczekać się wieczora; na wizyty szedłem z przyśpieszonym biciem serca; drżałem, ażeby nie zobaczyć, że jest ciemno w oknach ich mieszkania, a ile razy spotkałem się z moją serdeczną przyjaciółką, panną Karoliną, rozmawiałem z nią tylko o Heni. Czasem aż uśmiechała się poczciwa Karolcia z moich zapałów i nadziei.

Na domiar szczęścia Henia grała na fortepianie jak uczennica Wortha ... przepraszam!... Rubinsteina ... Pewnego dnia, było to na siódmej wizycie, panna Henryka uszczęśliwiła mnie mazurkami Szopena. Włodek, jej brat, rozwaliwszy się na fotelu, niby czytał „Figaro” , ale zapewne drzemał, ja zaś, stojąc za krzesłem panny Henryki, przewracałem nuty.

Nagle, gdy zapatrzyłem się w jej zgrabne rączki, jasne włosy i szyjkę z kości słoniowej, ogarnęła mnie taka tęsknota do przyszłego szczęścia, że pochyliwszy się nad jej ramieniem, rzekłem półgłosem:

— Przez całą wieczność chciałbym słuchać tej muzyki i przewracać nuty...

Moja złota... moja jasna... omyliła się o pół taktu, a w tej chwili drzemiący Włodek rzucił gazetę, ziewnął i zapytał:

— Heńka... a co on tobie chce przewracać?

— Nuty... — odparła moja słodka i znowu omyliła się o pół taktu.

Włodek przeciągnął się jak oryl i rzekł:

— Wiesz co, Nastek?... Zostań introligatorem i wynajmij pod nami mieszkanie na warsztat... a będziesz mógł przewracać kartki oprawianych książek i słuchać, jak Henia gra.

Dowcip był tak niesmaczny, że chciałem wzruszyć ramionami. Zanim jednak zdążyłem wykonać ten zamiar, panna Henryka wybuchnęła nagle śmiechem i zerwawszy się od fortepianu wybiegła do drugiego pokoju.

Oślupiałem. Jak to, ona, ta ubóstwiana, ta słodka, ta moja... śmieje się z grubiańskiego konceptu swego brata?...

Dla przyzwoitości posiedziałem jeszcze kilka minut i nawet uprzejmie rozmawiałem z Włodkiem udając, że nie spostrzegłem nic niewłaściwego. Ale gdy znalazłem się na ulicy, przy ponurym świetle gazowych latarni starego systemu, pod jesiennym deszczem, w sercu moim zaszła piorunująca zmiana.

Więc to tak?... — myślałem, drżąc z oburzenia. — Ja ją kocham, ja ją ubóstwiam, ja w mej duszy stawiam jej ołtarze, ja pragnę dla mej życie poświęcić, a ona drwi ze mnie?... Więc tylko wówczas miałbym prawo słuchać jej muzyki, gdybym mieszkał pod ich lokalem?...

Pomimo piekła w mózgu czułem, że namiętność wypływa ze mnie jak gorąca woda z samowaru, który się rozlutował. Co ja, u licha, upatrzyłem w tej dziewczynie?... Piękność nieosobliwa, biust żaden, posag ot taki sobie... A w dodatku brat wałkoń i karciarz, za którego ojciec już kilka tysięcy rubli długów zapłacił. Noga moja nie postanie więcej w tym domu.

II

Cóż to za różnica między panną Henryką, rozkapryszoną dyletantką, a na przykład — choćby panną Karoliną... Panna Karolina nie gra na fortepianie, bo nie ma na to czasu, bo ona, biedaczka, za pomocą lekcji musi uzupełniać skromne dochody swej matki.

Idealna istota! Poznałem się z nią przed dwoma laty w niezwykłych warunkach. Pewnego dnia otrzymałem list podpisany przez Karolinę X., w którym korespondentka zapytuje, czy nie zechciałbym udzielać jej lekcji buchalterii... Ponieważ adres był podany, więc zamiast odpisywać, sam poszedłem z odpowiedzią. W mieszkanku szczupłym, ale czyściutkim, zastałem przyjemną staruszkę, która usłyszawszy moje nazwisko, przywitała mnie z pewnym zakłopotaniem.

— Mówiono, że pan jest... starszy — wymknęło się jej i kłopot wobec mnie zdawał się wzrastać.

Szczęściem, w tej chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich młoda osoba, na widok której znowu ja uległem atakowi nieśmiałości. Proszę sobie wyobrazić wysoką brunetkę, śniadą, z rysami greckiego posągu, z oczyma... ach! te oczy... i z tak pięknym, tak rzewnym głosem kontraltowym, że we mnie serce drgnęło jak kwiat w promieniach słońca. To właśnie była ona, moja przyszła uczennica, panna Karolina!

Ponieważ panna Karolina nie podzielała obaw matki z powodu mego wieku, zatem rozpocząłem wykłady buchalterii, a po trzydziestu lekcjach (nie miałem powodu spieszyć się) moja piękna uczennica wcale dobrze zgłębiła tajniki naszej wiedzy. Czy w ciągu tego czasu nie kochałem się w niej? Albo ja już pamiętam!... W każdym razie musiała to być miłość bardzo

dyskretna. Ja, skromny urzędnik banku, jeszcze nie mogłem myśleć o zapewnieniu sobie rajy na ziemi, a ona, panna Karolina, opancerzyła się tak lodowatym spokojem, że brakło mi odwagi nawet do tych niewinnych umizgów, jakich dobrze wychowany młodzieniec ma poniekąd obowiązek dopuszczać się wobec pięknej kobiety.

Lekcje nasze skończyły się, moja pełna zdolności uczennica nie otrzymała posady buchalterki, którą jej obiecywano, i musiała wziąć się do wykładania arytmetyki panienkom. Ale sympatia między nami została. Widywaliśmy się rzadko, lecz gdy zobaczyliśmy się, ja zawsze opowiadałem pannie Karolinie o moich projektach lub awansach, a ona patrzyła na mnie cudnymi, czarnymi jak otchłań oczyma i... Albo ja wiem, o czym ona myślała? Może dziwiła się, że na klęczkach nie błagam o jej rączkę i serce pełne tajemnic?

Taką była osoba, co mówię: osoba?... Taką była niebianka, do której zwróciłem uczucia po katastrofie z panną Henryką i jej obrzydliwym braciszkiem.

Kiedy złożyłem pannie Karolinie pierwszą poważną wizytę, spostrzegłem na jej rzęsach bogini jakby ślady łez. Czcigodna matka również wyglądała na strapioną. Mimo to obie damy przyjęły mnie bardzo serdecznie, a ja przysiągłem w duchu, że kapłanką mego rodzinnego ogniska będzie albo Karolina, albo żadna!...

Gdy po herbacie wracałem do domu, przyszło mi na myśl, że szlachetne te kobiety muszą być w pieniężnych kłopotach. Wówczas wykonałem drugą przysięgę, że dopóty nie oświadczę się pannie Karolinie, dopóki nie wzrosną moje dochody i oszczędności.

Los był na mnie łaskaw, w tej bowiem epoce zachwiała się duża fabryka (firmy nie wymienię). Właściciele przystąpili do likwidacji interesu, a mnie powierzono sprawdzenie rachunków. Napędziło mi to niezły dochód, ale i niemało roboty. Zarzuciłem

rower, co dzień przez siedem miesięcy pracowałem od siódmej do jedenastej wieczór, a nieraz przez całą niedzielę. Pracodawcy zachwycali się moją robotą, w banku co miesiąc składałem po sto pięćdziesiąt rubli oszczędności, ale z panną Karoliną, a raczej — z moją wymarzoną, z moją uwielbianą Karolcią widywaliśmy się bardzo rzadko. Jej, naturalnie tymczasem, wystarczały moje spojrzenia, w których starałem się wypowiedzieć wszystkie uczucia i nadzieje, a ja musiałem kontentować się zagadkowym uśmiechem mojej najdroższej.

Pomimo nieszczęsnych spotkań miłość moja rosła niby kapitał na procencie składanym, i to bardzo wysokim. Doznawałem wobec niej jakiegoś tkliwego poddania się, jakiejś wstydlivosti, jakiejś wdzięczności dla tej mojej ukochanej, a jednocześnie pragnąłem dokonać niezwykłego aktu poświęcenia. Ale ponieważ w Warszawie trudno zostać bohaterem, więc obmyśliłem inny rodzaj szlachetnej ofiary. Postanowiłem, gdy skończy się likwidacja fabryki, prosić pannę Karolinę o rękę, a gdy zostanie przyjęty, pomówić na osobności z czcigodną matką i... doręczyć jej z zebranego przeze mnie fundusiku dwa tysiące rubli na wyprawę dla Karolci...

„Pani — miałem zamiar powiedzieć do szlachetnej kobiety — wiem, że znajdujecie się chwilowo w trudnych warunkach, a ponieważ mogłoby to wpłynąć na opóźnienie mego ślubu z panną Karoliną, na opóźnienie mego najwyższego szczęścia na tej ziemi, więc... (tu zadrżałby mi głos). Więc niech pani zrobi mi łaskę i pożyczyci ode mnie te oto dwa tysiące rubli...”

Po bladej twarzy staruszki w białym czepeczku spłynęłoby kilka łez... Ja, podając kopertę z pieniędzmi, przykląknęłbym... Ona, po chwilowej walce z sobą, wzięłaby kopertę, położyłaby ją niedbale na stoliku i odparłaby, z trudnością powstrzymując się od płaczu: „Jesteś najszlachetniejszym z ludzi, panie Anastazy. Takim poznałam cię od razu...”

Moje widzenie było tak piękne, że sam czułem łzy wzbierające pod powiekami. Jedno tylko zatruwało mi spokój: oto myśl, że zacna staruszka zostawi pieniądze na stoliku aż do jutra, a tymczasem służąca, brudny kocmołuch z ponurym wejrzeniem, może je ukraść...

Kiedy pewnego dnia, w styczniu, wpadłem na chwilę do drogich pań, Karolcia, moja Karolcia, wybierała się na jakiś rodzinny wieczorek. Miała suknię barwy jasnopomarańczowej, a w kruczonych włosach — żółtą różę. Była tak piękna, tak piękna... że chciałem upaść jej do nóg. Pohamowałem się jednak i tylko szepnąłem:

— Za kilka miesięcy będę miał coś do powiedzenia pani...

— Czy o sobie? — zapytała rumieniąc się.

— Tak — odpowiedziałem i spojrzałem na nią wzrokiem, w którym wyraziły się wszystkie moje pragnienia i tęsknoty.

— Więc może i ja za kilka miesięcy będę miała coś do powiedzenia o sobie — szepnęła.

„Aniele!...” chciałem zawołać, ale pohamowałem się i wybiegłem z pokoju. Pomimo to zrozumiałem, że się prawie oświadczył i że prawie zostałem przyjęty.

O ty droga... o ty słodka... o ty moja!...

W kwietniu rachunki likwidującej się fabryki zbliżały się do końca, a już miałem w banku trzy tysiące dwieście siedemnaście rubli z kopiejkami. Czułem się jednak zmęczony; źle sypiałem, traciłem apetyt, niekiedy myliłem się w dodawaniu, z trudnością przychodziło mi skupić uwagę... Zrozumiałem, że buchalter nie może pracować przez jedenaście godzin na dobę.

Lecz jeżeli nie będę pracował jedenaście godzin na dobę, jeżeli nie wyrzeknę się roweru i orzeźwiających wycieczek za miasto, w takim razie nie będę miał trzech tysięcy rubli rocznie i nie wykarmię rodziny. Trzeba, dopóki nie awansuję, prowadzić dom z wielką oszczędnością... Obawiam się, czy nawet droga Karolcia nie będzie musiała jeszcze rok.. dwa.. udzielać lekcji...

Męczony przez takie troski, poszedłem do ukochanej dziewczyny pojmując, że ulegam zdenerwowaniu i że byłem spojrział na Karolcię, odzyskam odwagę. Idąc zaś myślałem: Po co mam jej dawać aż dwa tysiące na wyprawę?... Wszak jeżeli dam tysiąc pięćset rubli, to w zamian na zagospodarowanie się będziemy mieli przeszło tysiąc siedemset?... Po co uboga panienska, nauczycielka, miałaby aż dwa tysiące rubli wydawać na fatałaszkę?... Kiedy się nareszcie stanowczo oświadczę (musi to nastąpić niedługo, ponieważ obiecałem jej za kilka miesięcy...), kiedy się oświadczę, wezmę którego dnia z kasy tysiąc pięćset rubli, włożę w grubą kopertę, pójdę do szanownej matki i powiem: „Droga pani... droga matko... ponieważ możecie kłopotać się wyprawą panny Karoliny, więc — oto skromna sumka...” Szlachetnej kobiecie poczują drgać usta ze wzruszenia, na rzesach pokażą się łzy... Potem staruszka odetchnie głęboko i powie cichym głosem: „Taki człowiek jak ty, panie Anastazy, nie mógł inaczej postąpić...”

W tej chwili stanąłem pode drzwiami ich mieszkanka na drugim piętrze i zadzwoniłem. Pomimo ósmej godziny wieczór, Karolci jeszcze nie było. Witając się z matką, spostrzegłem, że zacna staruszka ma nową, czarną suknię i jest ożywiona; a może tylko światło lampy takie blaski rzuciło na jej zwiędłe oblicze.

— Panny Karoliny nie ma? — zapytałem, trochę poirytowany.

— Od dwóch dni biega za sprawunkami — odpowiedziała staruszka, uśmiechając się tajemniczo.

Za sprawunkami?... — pomyślałem. Skądże one mają pieniądze?... Chyba zaciągnęły pożyczką na rachunek moich tysiąca pięciuset rubli?...

Nie podobało mi się to. A tymczasem staruszka wciąż robiła miny tajemnicze, oczywiście chcąc rozbudzić we mnie ciekawość. Ale mnie w tej chwili dręczyła myśl: czy nie byłoby stosowniej przeznaczyć na wyprawę Karolci tylko — tysiąc rubli?... W takim

bowiem razie mielibyśmy na przetrzymanie trudnych czasów dwa tysiące dwieście siedemnaście rubli, a może i więcej z tym, co jeszcze uda mi się zaoszczędzić.

Nareszcie powściągliwość staruszki wyczerpała się i zacna kobieta poczęła mówić zniżonym głosem:

— No, przed panem zdradzę sekret, bo pan był zawsze najlepszym przyjacielem. Wie pan, że Leon przyjechał?...

— Któż to jest? — zapytałem oschle, odgadując, że tym Leonem może być jakiś nieznany mi braciszek panny Karoliny, który przed laty gdzieś się podział, lecz obecnie, gdy siostra ma szansę wyjścia za mąż, wrócił, ażeby zamieszkać u szwagra... Ale ja się z nim prędko załatwię...

— Cóż to za Leon?

— Pan nie wie?... zdziwiła się staruszka. — Przecież to narzeczony Karolki... Kochają się od pięciu lat.

Wielki Boże!... — pomyślałem — więc od pięciu lat serce panny Karoliny należało do innego!...

Byłem tak spiorunowany, że nie odezwałem się. Staruszka uważała to za podniecie do dalszych wyjaśnień.

— Już pięć lat — mówiła — ciągnie się romans, który mnie nawet gniewał. Zaręczyli się, potem zerwali, potem on zasypywał ją listami, a ona przez parę lat milczała, a potem oboje nie odzywali się do siebie, ale ja czułam, że poza tymi gniewami tleje dawna miłość. Od czterech lat Leon jest dyrektorem jakiejś wielkiej kopalni w Rosji, zapomniałam gdzie to... Ma około dwudziestu tysięcy rubli rocznie i kilkadziesiąt tysięcy w akcjach tej kopalni... Kupił dla Karoli prześliczne brylanty, a zegarek!... Co zaś najważniejsze, dał jej na domowe drobiazgi sześć tysięcy rubli, przypominając, że fortepian Blüthnera sam kupi. Ślub ma odbyć się w tym tygodniu, ale zupełnie cichy, nawet z najbliższej rodziny nikt nie będzie — zakończyła staruszka, jakby dla dowiedzenia, że nie dość jest wbić człowiekowi rozpalony nóż w serce, ale trzeba go jeszcze parę razy wykręcić.

III

Co na te nowiny odpowiedziałem?... czy pożegnałem matkę panny Karoliny?... w jaki sposób znalazłem się na ulicy?... Alboż ja wiem!... Straszne to nieszczęście, gdy kobieta ukochana przez nas wychodzi za innego, lecz cóż wyrówna bólowi, gdy ten inny ma dziesięć razy większe dochody aniżeli my i gdy ukochana pod żadnym względem nie potrzebuje żałować tego, że nas zdradziła!

Na majowym niebie wznosił się pełny księżyc. Gdym spojrzał na niego, przyszło mi na myśl dwadzieścia tysięcy rubli rocznie i wydawało mi się, że człowiek, który ma podobne dochody, o tyle wyżej góruje nad moimi nędznymi dwoma tysiącami, o ile ten księżyc wyżej wznosi się ponad dachy domów.

Oto są niesprawiedliwości społeczne: szczęśliwy burżuj łupi dwadzieścia tysięcy rubli za to, że Pan Bóg stworzył rudę żelazną, a inteligentny proletariusz ledwie wypracuje dwa tysiące! Jeden usycha z miłości przy kobiecie, ucząc ją buchalterii; drugi bierze całą na własność i będzie wyrabiał z nią, co tylko mu się podoba.

Blisko do północy tułałem się po ulicach, chwilami nie wiedząc, gdzie jestem. Potem wróciłem do domu, ległem na łóżku, ale sen uciekł z mojej sypialni. Przypomniałem sobie krucze włosy, śniadą cerę, kontraltowy rzewny głos panny Karoliny, a nade wszystko jej oczy... oczy pełne tajemnic!... Ale kiedy na dnie tych tajemnic ukazał się cień męski z dwudziestoma tysiącami rubli dochodu i stosem akcji, przynoszących ogromną dywidendę, kiedy przypominałem sobie, że ona, Karolina, od pięciu lat kochała ten cień i marzyła o nim podczas moich wykładów buchalterii i nawet wówczas, kiedy ja

zabijałem się pracą dla niej, ogarnęła mię złość i zacząłem układać plan zemsty.

Był on rzeczywiście piekielny, choć bardzo prosty. Miałem zamiar zdusić w sobie nie tylko miłość, ale i ambicję, zapoznać się z przyszłym mężem Karoliny i prosić go (słyszycie, ja miałem prosić jego!...) o posadę buchaltera przy kopalni, w której był dyrektorem. Osiadłszy zaś tam i gruntownie zapoznawszy się z biegiem interesów miałem, niby Konrad Wallenrod, wykryć nadużycia, których niewątpliwie dopuszczał się ów pan Leon w kopalni. O nadużyciach byłem pewien, bo naprzód, skądże by miał tak olbrzymie dochody, a po wtóre — człowiek, którego nienawidziłem, musiał popełniać czyny kryminalne. Wykryć te zbrodnie, wepchnąć przestępcę na dno kryminału, zrujnować go, a w końcu wyciągnąć pomocną rękę do jego żony, oto w jaki sposób miałem powetować moje dzisiejsze męki.

Kiedy w najogólniejszych zarysach obmyśliłem ten projekt, na dworze był jasny dzień, świergotały wróble, a z ulicy dochodził turkot dorożek i wozów piekarskich. O ósmej wstałem, umyłem się, następnie poszedłem do biura i, siedząc nad rachunkami, zrobiłem dwa odkrycia: że jestem bardzo, ale to bardzo zmęczony i że mój projekt zemsty nad przyszłym mężem panny Karoliny nie mógł urodzić się w głowie człowieka rozsądnego.

Na drugą noc myśli moje przybrały inny kierunek. Już nie miałem zamiaru mścić się, bynajmniej!... Mąż Karoliny sam zbankrutuje i ucieknie za granicę, ja zaś rozciągnę opiekę nad nią i nad jej matką, która, ściskając mnie, szepnie przez łzy: „Taki człowiek jak pan, panie Anastazy, nie mógł postąpić inaczej...”

Trzecią noc także nie spałem, ale marzenia moje były nieco weselsze. Mąż Karoliny i tym razem zbankrutował, notabene zaraz po ślubie; lecz zamiast uciekać za granicę, wypalił sobie w łeb. Ja zaś, po upływie czasu przeznaczanego na żałobę,

odzyskałem moją najdroższą Karolcię, a z nią fortepian Blüthnera, klejnoty, które ofiarował jej mąż przed ślubem i resztę z sześciu tysięcy rubli, przeznaczonych na wydatki gospodarskie.

W taki sposób upływała mi doba za dobą, noc po nocy. W ciągu dnia męczyłem się nad zwykłym dodawaniem, w nocy — marzyłem o bankructwie Leona, jego nagłej śmierci i połączeniu się z Karoliną. A ile razy myśl moja wydobyła się z zakłętego koła przywidzeń, ile razy wracała mi przytomność, przypominałem sobie z trwogą, nieledwie z rozpaczą, że ja już piątą... szóstą... siódmą noc nie śpię!

Bezsenna noc męczyła mnie tak okrutnie, że dla wykupienia się od niej byłem gotów wyrzec się nie tylko zemsty nad Leonem, ale nawet... posiadania Karoliny. Owszem, niekiedy przychodziła mi myśl, że byłem sen odzyskał, to jednak potrafię wynaleźć szlachetną dziewczicę w guście Karoliny, a jeżeli nie jej samej, to przynajmniej coś w rodzaju Amelii, Walerii, Lucylli, Hipolity... czy ja wiem wreszcie!...

Bardzo lubię mój ścienny zegar, który uroczystym głosem wybija kwadranse i godziny. A jednak wolałem go zatrzymać, wolałem, ażeby wcale nie chodził i nie bił, aniżeli wśród nocnej ciszy słyszeć godzinę pierwszą... drugą... trzecią... Lecz i pomimo zatrzymania zegara nie spałem, a gdy lękając się zobaczyć szary blask świtu nie otwierałem powiek, świergot ptaków, coraz częstsze turkoty wozów, a nareszcie szelest mioteł na ulicy przypominały mi, że już jest rano i że sen znowu stracony!... Nareszcie doszedłem do tego stanu, że w mojej głowie istniały tylko trzy myśli: Karolina, Leon i — najgorsza, najdokuczliwsza ze wszystkich — myśl o bezsenności. Nagle uczułem trwogę: zdawało mi się bowiem, że mam początki obłąkania... Więc uwolniłem się z biura i spotniały, z bijącym sercem, około czwartej po południu pojechałem do jednego ze znakomitych lekarzy w Warszawie.

W poczekalni było tylu pacjentów obojga płci i pomimo uchylonych okien takie gorąco, że chciałem cofnąć się. Lecz pyzaty służący, który w jednej ręce trzymał książkę do nabożeństwa, a drugą zwinął na kształt skarbonki, zatrzymał mnie i szepnął, że nie wszyscy, którzy w sali siedzą, są chorymi i że niedługo przyjdzie kolej na mnie. Poradził mi też, abym zajął krzesło niedaleko pieca przy stole, gdzie leżało kilka albumów. Na przeciwległym końcu sali niechcący spostrzegłem młodą panią gustownie ubraną, nieco mizerną, która mogłaby zainteresować mniej nieszczęśliwego aniżeli ja. Panią rozmawiała po cichu ze starszą damą, a na delikatnej twarzyczce miała wyraz słodczy i smutku. Mimo woli pomyślałem, że jednak byłoby nieźle dla zabicia czasu przypatrywać się jej, naturalnie w sposób dyskretny; ale ponieważ sprofanowałbym przez to moją świeżą boleść, więc odwróciłem oczy.

Z drugiej strony pieca, na krzeselku, kręcił się jegomość, szczupły, niski z nieporządnym zarostem i najeżonymi włosami. Co kilka minut zrywał się, biegł do przedpokoju i wymyślał lokajowi, że doktor zbyt długo każe mu czekać na kolej. Lokaj jednak zawsze znalazł jakieś słówko otuchy, gwałtowny jegomość powracał na swoje krzesło, obrzucał sąsiadów impertynenckimi spojrzeniami i znowu kręcił się, aż do następnego wybuchu niecierpliwości.

Pod lustrem na kanapie rozwalał się inny pan, tęgo zbudowany, który tu przyszedł w towarzystwie młodego człowieka imieniem Edward. Młody człowiek za każdym żywszym ruchem tęgiego pana wpadał w przestach, zaś tęgi pan ze swymi sąsiadami rozmawiał, widocznie o ich dolegliwościach, co chwilę bowiem odzywał się grubym głosem:

— Powinien pani zapisać brom, to przejdzie...

A potem, wysłuchawszy pana siedzącego z drugiej strony, rzekł:

— Z pewnością zapisze hydropatię, i przejdzie.

W tej chwili doktor zaprosił do siebie interesującą panienkę, za którą udała się dama starsza. Gdy znikły we drzwiach gabinetu, uczułem jakby wyrzut sumienia, że pilniej nie przypatrzyłem się tej młodej istocie... Gdybym ją poznał wcześniej, kto wie...

Chudy pan z drugiej strony pieca znowu pobiegł do przedpokoju krzycząc piskliwym głosem, że to była jego kolej i że blada panienska nieprawnie zajęła jego miejsce. Tym razem argument służącego musiał być przyjemny, pan bowiem wrócił uśmiechnięty na swoje krzesło i przesiedział na nim spokojnie około dwóch minut. Zaś tego zbudowany jegomość spod lustra, opowiedziawszy sąsiadom, w jaki sposób będą leczeni, zaczął z kolei opisywać im swoje własne, nic nieznaczące dolegliwości. Nie miał on trochę władzy w prawej ręce i prawej nodze, nie słyszał cokolwiek na prawe ucho i niekiedy doznawał lekkich zaćmień w prawym oku. Wszystko to zawdzięcza doktorom, co nie poznali się na jego niedyspozycji, która zresztą niebawem skończy się, ponieważ teraz właśnie trafił na dobrego lekarza. Towarzyszący mu młodzieniec, Edward, był coraz więcej zaniepokojony.

Ponieważ znudziło mnie gadulstwo pana tego zbudowanego, i nerwowa bieżanina jegomości z powichrzonymi włosami, i senna twarz jakiejś damy drzemącej na fotelu, więc zacząłem przeglądać album krajobrazów. Naprzód obejrzałem jakiś stary młyn otoczony zielonością, a znajdujący się u wejścia do ciemnego wąwozu i — obudziła się we mnie chęć zwiedzenia tego wąwozu, który musiał być chłodny i przyćmiony. A jakby tam zdrzemnąć się można!... Potem zastanowił mnie widok jakby z Saskiej Kępy: las odgradzony płotem od łąki, na której pasło się kilka krów. Ach, jakże rad bym przejść się po tej łące i po tym lesie, wyszukać mały, malutki pagóreczek, wyciągnąć się na trawie... Albo ten park w nocy: na lewo słup z kompasem, w głębi dwór śpiący, na pierwszym planie droga zasypana liśćmi...

Smutek ścisnął mi serce, ale jakkolwiek przykry, miłszym mi był od wspomnień, bezsenności i obaw, ażeby nie dostać bzika. Ani nie spostrzegłem, kiedy pacjenci jeden po drugim wysunęli się z poczekalni, a nareszcie i mnie lekarz wezwał do swego gabinetu.

Doktor był to człowiek szczupły, z twarzą ascety i łagodnym spojrzeniem, na dnie którego zapalały się niekiedy iskry ironii. Patrząc mu w oczy doznawałem uczuć przestępcy kryminalnego wobec adwokata, któremu powierza sprawę. I zdawało mi się, że lada chwilę doktor przemówi: „Kłam pan, ile się zmieści, a ja będę udawał, że wszystkiemu wierzę...”

Omyliłem się, doktor bowiem niezwykle uprzejmym tonem zapytał:

— Cóż panu dolega?

— Bezsenność... — odpowiedziałem.

— Dawno?

— Nie śpiam od tygodnia, ale prócz tego lękam się obłąkania, ponieważ ciągle myślę o tych samych osobach...

— A przypisuje pan swoje cierpienia czemu?

— Nieszczęśliwej miłości... — szepnąłem z lekkim westchnieniem.

— Aha!... zatem ciągle pan myśli o osobie ukochanej?... Inne kobiety przejmują pana wstrętem...

— Tego nie mógłbym twierdzić...

— A przynajmniej wydają się panu obojętnymi? — nalegał doktor.

— Kobiety?... — zapytałem śmielej. — Kobiety nigdy nie wydają mi się zanadto obojętnymi.

Doktor zamyślił się.

— I dawno trwa ta nieszczęśliwa miłość? — zaczął znowu.

— Mniej więcej od tygodnia... Ale Kocham się już siedem miesięcy...

— A dawniej?...

— Dawniej?... Poprzednio kochałem się przez trzy miesiące...

— A jeszcze dawniej?...

— Jeszcze dawniej doznawałem... takiego ogólnego uczucia życzliwości dla...

— Dla wszystkich kobiet... — wtrącił doktor.

— Mniej więcej... prawie...

Doktor zajrzał mi w oczy, zbadał puls, opukał i osłuchał, wciąż kręcąc głową, co mnie tak zaniepokoiło, że drżącym głosem spytałem:

— Pan doktor sądzi, że jestem bardzo chory?...

— Więc myśli pan ciągle o jednej i tej samej osobie? przerwał lekarz.

— W dzień i w czasie bezsennych nocy — odpowiedziałem czując, że udał mi się ładny frazes.

— A w tej chwili?...

Zastanowiło mnie pytanie, więc odpowiedziałem:

— Wie pan doktor, że stała się dziwna rzecz: od czasu gdy wszedłem do poczekalni, już nie myślę o tej osobie i nie lękam się obłądu.

— A cóż pan robił w poczekalni?

— Przypatrywałem się trochę... pacjentom pana doktora i... oglądałem album krajobrazów...

— Aha... Więc krajobrazy tak silnie zajmują pana, że nawet odwracają uwagę od idei prześladowczej...

Wziął mnie za rękę, dotknął mięśni i nagle zapytał:

— Pan uprawia jaki sport?...

— Owszem, jeżdżę rowerem...

— Czy w ogóle nie za dużo jeździ pan?

— Dawniej jeździłem dużo, ale od zeszłej jesieni ani razu nie byłem za rogatkami.

— Z powodu?...

— Jestem buchalterem, miałem wyjątkowe zajęcia i pracowałem około jedenastu godzin na dobę.

— A w niedziele?...

— Także i w niedziele...

Doktor wysoko podniósł brwi, zamyślił się i rzekł:

— Odkryliśmy więc źródło pańskiej niedyspozycji, ale zarazem i lekarstwo...

— Więc ja mogę być wyleczony?... — zawołałem z radością.

Doktor wzruszył ramionami.

— Wyleczonym pan być nie może — odparł — ponieważ nie jest pan chory... Musi pan tylko odzyskać równowagę...

— Za pomocą hydroterapii... bromu... — wtrąciłem.

Doktor znowu przypatrzył mi się z uwagą.

— Nie, proszę pana — zaczął z wolna — ja takim jak pan nie zapisuję nawet bromu, ażeby nie sądzili, że za pomocą kilkunastu łyżek lekarstwa uwolnią się od dbałości o swoje zdrowie.

— Nawet bromu nie? zawołałem. — Przepraszam pana doktora, ale... ja znowu zaczynam lękać się obłądu...

Doktor wziął mnie za rękę, znowu zbadał puls, w tej chwili bardzo przyspieszony i mówił z uśmiechem:

— Niech mnie pan posłucha z uwagą i stara się zrozumieć. Pan nie jest właściwie chory, ale cokolwiek wyprowadzony z równowagi... skutkiem nieporządnego trybu życia.

— Upewniam pana doktora... — odezwałem się, kładąc rękę na sercu.

— Nieporządek — przerwał doktor — polega na tym, że mając mięśnie jak druciane liny, nie pracował pan nimi przez kilka miesięcy, a, co gorzej, w tym samym czasie przepracował pan nerwy. Jeszcze nie rozumie pan? — mówił patrząc mi w oczy. — Więc niech pan uważa... Jada pan co dzień, czyli co dzień dostarcza pan jakiegoś kapitału mięśniom i nerwom. Lecz zarazem popełnia pan dwa błędy. Naprzód: nie obraca pan

kapitałem mięśni, który dzięki temu nie przynosi organizmowi żadnego procentu, a po wtóre: zbyt wiele wydaje pan z kapitału nerwów, które muszą zadłużać się u innych części organizmu i płacić lichwę. Ta zaś lichwa wyraża się w formie moralnych niepokojów i bezsenności... Czy pan zrozumiał?... Przecie jest pan buchalterem.

Ubodła mnie jego niewiara w moje zdolności, które mi wszyscy przyznają, więc odpowiedziałem śmiało:

— Pan doktor, jako niefachowy, chce wyrazić tę myśl buchalteryjną, że w księdze głównej mojego życia, w rachunku mięśni, jest zapisana tylko stronica „winien”, a w rachunku nerwów tylko stronica „ma”... No, ale przy zamknięciu bilansu może się to zrównoważyć...

— Nie, drogi panie — przerwał lekarz. — W handlu może tak jest, ale w naturze rachunek mięśni sam musi się zrównoważyć i rachunek nerwów także sam. Innymi słowy... Niech pan uważa...

— Słucham pana doktora...

— Ponieważ nerwy pańskie są przepracowane, więc muszą parę tygodni odpocząć. A ponieważ mięśnie są zaniedbane, więc trzeba je gimnastykować. Jako zaś cyklista, posiada pan lekarstwo mocniejsze od wszelkich narkotyków... to jest rower. Gdy zacznie pan jeździć na rowerze, byle z rozwagą, nie męcząc się, wówczas mięśnie będą pracowały, a nerwy odpoczną...

— I odzyskam sen?...

— Jestem prawie pewny... Byle nie drażnił się pan niepotrzebnymi rozmyślaniami. To jedno mogłoby się stać niebezpiecznym...

— Ale wspomnienia, które mnie dniem i nocą prześladują!... — westchnąłem.

— Przeciw wspomnieniom — odparł doktor — sam znalazł pan lekarstwo. Jeżeli wizerunki natury, tylko wizerunki, oglądane tam w poczekalni, odwróciły uwagę pańską od wspomnień, to

tym bardziej pochłonie uwagę sama natura, gdy wyjedzie pan za rogatki. Ale powtarzam: nie wolno męczyć się!...

Powstałem z krzesła uszczęśliwiony. Cóż to za genialny lekarz!... jaką on mi wlał otuchę w serce!.. I gdyby nie Karolina...

— Kiedy pan doktor każe mi przyjść? — zapytałem czując, że taka porada warta jest przynajmniej pięć rubli.

— Kiedy pan zechce... Chociaż zdaje mi się, że nie będzie potrzeba nowych wskazówek. Dwutygodniowy urlop... wyjazdy rowerem za miasto... niemęczenie się... zresztą ciepła kąpiel... Oto rady, które panu i za tydzień powtórzę. Ażeby zaś nie trapiły pana złe myśli, niech pan ciągle coś obserwuje: ludzi, domy, sprzęty, i niech pan ciągle zdaje sobie sprawę z tego, na co patrzy. W taki sposób pomiędzy sobą i swoimi przywidzeniami rozciągnie pan niby siatkę z wrażeń realnych, od których odbiją się widziadła.

Pożegnałem kochanego doktora i wybiegłem na ulicę, jakby mi skrzydła wyrosły. A więc będę zdrow!... Co to znaczy: będę! ja już jestem zdrow, już czuję, że będę spał... Byłe wziąć urlop, wyjechać rowerem za miasto, a dla odpędzenia myśli o niewdzięcznej Karolinie i jej mężu, zmuszać się do obserwowania ludzi, kamienic, dam... Chociaż nie jestem pewny, czy doktor mówił o damach?...

IV

Przepisany system leczenia tak mi się podobał, że tego samego dnia około szóstej poszedłem do dyrektora banku prosić o urlop. Czulem, że nie mógłbym pracować ani godziny dłużej.

Nasz dyrektor był to człowiek ogromny, trzymający się nieco pochyło. Miał siwe włosy nastroszone jak lwia grzywa i ministerialne faworyty; gdy zamyślił się nad bankowymi interesami, podnosił oczy do góry i zasłaniał ręką usta, przy czym niekiedy szeptał:

— A to łajdaki!...

Miał też oryginalną opinię o podwładnych urzędnikach:

— Nasz Polak — mawiał nieraz — może być wszystkim, czym tylko zechce: muzykiem, malarzem, poetą. Może tańczyć całą noc, a rano zdobyć Somosierre, ale kupcem ani przemysłowcem nie będzie nigdy. Prędko fatyguje się milczeniem, gardzi wiedzą fachową i nie lubi pracować. Zresztą jest najprzyjemniejszym człowiekiem w towarzystwie.

Dyrektor mieszkał obok banku. Kiedy wszedłem do sieni, obejrzał mnie szwajcar, czy nie jestem złodziejem. W przedpokoju stary lokaj sprawdził, czy nie wyglądam na urzędnika wypędzonego z banku, który nachodzi prywatny lokal dyrektora z nieuzasadnionymi pretensjami. Nareszcie w salonie poczekalnym rzucił na mnie okiem kamerdyner, czy nie mam miny młodego człowieka, który przyszedł prosić o jakąkolwiek posadę, choćby na tysiąc rubli. Rozumie się, oddałem mój bilet i w kilka minut zostałem przyjęty.

Dyrektor leżał na szezlongu, okryty pledem. Podał mi dwa palce swojej pięknej, wypieszczonej ręki, potem wskazał krzeselko i zaczął cierpkim tonem:

— Cóż to, słyszę, że namawiają pana, ażebyś porzucił nasz bank i przeszedł do konkurenta?... Jeżeli kto, to pan nie powinien byś tego robić!... Masz dobrą pensję, czekają cię awanse, no i nie zamęczasz się pracą... Otwarcie powiem, że jest to dla mnie bardzo niemiła niespodzianka...

— Ależ, panie dyrektorze — zawołałem — daję słowo honoru, że nawet nie pomyślałem o niczym podobnym!...

Dyrektor usiadł na szezlongu.

— Nie?... — zapytał. — Nie?... A więc i na pana przyjaciele zrobili plotkę... Ale u nas jest to w porządku. Przyjaźń przyjaźnią, a plotka plotką... Ile masz pan pensji?...

— Sto osiemdziesiąt — szepnąłem myśląc, że może dyrektor podniesie mi...

— Phi! Sto osiemdziesiąt rubli na miesiąc... Ja, proszę pana, zaczynałem od dziesięciu rubli. Jak to teraz ludzie prędko dorabiają się, chociaż nie chcą pracować dłużej nad osiem godzin... Ale jeżeli pan przyszedł żądać podwyżki, to pan źle trafił.

— Boże uchroni!... Ja tylko przyszedłem prosić pana dyrektora o urlop, ponieważ doktor zalecił mi...

Teraz dyrektor zrzucił plec, zerwał się jak najzdrowszy człowiek i zaczął chodzić po gabinecie.

— Urlop? dziwił się urlop?... Pracujesz pan kilka lat i już się zmęczył?... Urlop?... Któż to dziś bierze urlopy?...

— Doktor kazał mi odpocząć... wtrąciłem nieśmiało.

— Doktor?... Jaki doktor?... co za doktor?... po czym on kazał panu odpoczywać?... Ciekawy jestem, czy pański doktor i wtedy zalecałby urzędnikom urlopy, gdyby na przykład został dyrektorem banku?... Cóż to za doktor?... czego panu brakuje?...

Powiedziałem nazwisko lekarza, u którego właśnie nasz dyrektor zasięga porad, i dodałem, że jestem przepracowany. O zdradzie panny Karoliny nie wspomniałem rozumiejąc, że to nie należy do spraw bankowych.

Dyrektor usiadł na fotelu i obu rękoma uderzył się w kolana, aż trzasnęło.

— Przepracował się pan?... ale chyba nie w naszym banku... O ile wiem, wziął pan robotę w godzinach pozabiurowych przy likwidacji cukrowni; więc jeżeli przepracował się pan, to nie u nas, a więc my nie potrzebujemy dawać panu urlopu...

Byłem tak rozdrażniony, że sam nie wiedząc, co mówię, ukłoniłem się i rzekłem:

— W takim razie proszę pana dyrektora o dymisję — i w tejże chwili przeraziłem się tego, com wypowiedział.

Na szczęście, dyrektor zasłonił usta ręką, oczy wzniosł do nieba i po dłuższym namyśle odparł:

— Gdybyś pan był taki wałkoń jak niektórzy pańscy koledzy, naturalnie z przyjemnością dałbym panu dymisję... Ale porzadnemu człowiekowi wolę dać urlop. Na długoż to?...

— Przynajmniej na dwa tygodnie.

— Bardzo dobrze, na dziesięć dni... I cóż panu zalecił doktor na te dziesięć dni?...

— Wyjazdy rowerem za miasto...

Dyrektor podskoczył.

— A to masz pan jakąś wesołą chorobę, panie... panie...

— Fitulski... — wtrąciłem z ukłonem.

— Panie Fitulski!... Szkoda, że doktor nie kazał panu przez dziesięć dni latać za dziewczętami na koszt banku... Muszę ja zobaczyć się z doktorem i zwrócić jego uwagę, że nasi urzędnicy nie mają czasu na majówki... na raki i kurczęta z mizериą. A może on jeszcze kazał panu jeździć samochodem, panie Fitulski?... Winszuję recepty!...

Podniosłem się z krzesła i spytałem:

— Więc pan dyrektor pozwala mi od jutra?...

— Ja nie pozwalam... pan sobie sam pozwala... Ja tylko muszę dać panu urlop, a to wielka różnica!... Przynajmniej żeby pan miał sumienie i w ciągu tygodnia zakończył tę swoją dziwną kurację!...

Nisko ukłoniłem się, pewny, że w razie potrzeby będę mógł dociągnąć urlop do trzech tygodni. Utwierdziła mnie w tym mina dyrektora, który jeszcze bardziej spochmurniał i na pożegnanie podał mi jeden palec.

Z wizyty u dyrektora, pomimo jego opryskliwości, byłem uradowany. Urlop mam i od jutra mogę zacząć kurację, która już dzisiaj wywiera na mnie skutek cudowny. Odgadł to widać kamerdyner, zastąpił mi bowiem drogę w salonie i ukłonił się tak elegancko, że uznałem za niezbędne ofiarować mu pół rubelka.

— Stary to tylko w gębie brzydki — szepnął kamerdyner — ale on urzędników, owszem, lubi... O lubi!....

W przedpokoju lokaj podał mi letnie paltó z takim wygięciem rąk, że zostawiłem mu na pamiątkę czterdzieści groszy i takąż samą kwotę szwajcarowi, który zdjął czapkę, gdy ukazałem się na szczycie schodów. W ciągu kilku minut o tyle wprawiłem się w rozdawaniu pieniędzy, że czułem kłopot, gdy na ulicy nikt mi się nie kłaniał, nie podawał paltota i nie wyciągał ręki.

Ach, Karolino!... mimo woli westchnąłem, ale się pohamowałem. Doktor wyraźnie zabronił mi myśleć o niewiernej... Nawet ostrzegł, że to jedno mogłoby się stać dla mego zdrowia niebezpiecznym... A więc nie myślmy o niewdzięcznej i raczej zajmujmy się Warszawą, która, zawsze ładna, dziś wydawała mi się zachwycającą.

Dochodziła siódma wieczór. Cóż to za ruch!... Oba chodniki na Krakowskim Przedmieściu zapchane publicznością, a przez środek ulicy niepodobna przemknąć się między tłumem powozów, dorożek, tramwajów, rowerów, nawet samochodów. Co chwilę ktoś dzwoni, beczy, gwizdże, popycha cię z tyłu, ociera się z boku, włazi na piersi, zawadza ci laską o paltot, parasolką o kapelusz; ale jest przy tym taki roześmiany, taki rozkoszny, tak zapomina o całym świecie, a przede wszystkim o twoich bokach i oczach, że nie podobna mieć do niego pretensji.

Warszawa jest miastem wesołym i wygodnym, gdzie na przestrzeni stu kroków można znaleźć zaspokojenie wszelkich potrzeb i przyjemności życia. Wyobraźmy sobie człowieka, który by na przykład spadł z księżyca na Krakowskie Przedmieście, gdzieś niedaleko Chmielnej czy Świętokrzyskiej, z kilkuset, a jeżeli można, to i z kilkoma tysiącami rubli gotówką. Podróżny ten na końcu ręki miałby pokój umeblowany, łazienkę, skład bielizny, magazyn krawiecki i szewski, fryzjera, sklep galanteryjny — gdzie by go wykąpano, ostrzyżono, ubrano od stóp do głów. Oporządziwszy się, w tym samym domu lub sąsiednim, znalazłby cukiernię dla wypicia podwieczorku albo

restaurację dla zjedzenia kolacji, a następnie — mógłby udać się na widowisko, choćby do jednego z ogródkowych teatrzyków. Miłe, śliczne, kochane miasto!... Twoje bruki są gładkie jak posadzka, twoje domy mają barwę szlachetnych metalów, twoje latarnie błyszczą jak gwiazdy, w sklepach gromadzą się bogactwa wszystkich części świata a ludność jest ruchliwa i wesoła jak ptaki albo motyle...

Szczególniej kobiety... Ale o kobietach nawet myśleć nie pozwala doktor, rozumie się, chwilowo... Gdy odzyskam sen, gdy zacznę gimnastykować mięśnie i uspokoję nerwy, wówczas znowu będę mógł zajmować się kobietami, które, jak słusznie zauważył jeden z poetów czy filozofów, są ozdobą ziemi i rozkoszą ludzkiego życia. Naturalnie, o ile nie zdradzają tych, którzy powierzyli im swoje szczęście...

O Karolino!... bodajbyś w dwudziestu tysiącach dochodu swego męża nie znalazła ani jednej z tych goryczy, jakie bywają udziałem skromnych urzędników posiadających dwutysięcorublowe pensyjki... O Karolino!... a raczej: o pani, bo już na wieki straciłaś prawo do słodkiego tytułu: mojej...

Ale ponieważ doktor zabronił mi myśleć o tych rzeczach, a widok ruchu ulicznego już zaczynał mnie nużyć, więc wróciłem do swego mieszkania.

V

Doktor jest stanowczo genialny, a jego rada, ażeby nie zagłębiać się w bolesti, lecz rozpatrywać się w otaczających przedmiotach, zasługuje na nazwę nieocenionej. Na przykład Warszawa, którą niby znam od kilkunastu lat, dzisiaj ukazała mi się jakby w nowym oświeceniu, toż samo i moje mieszkanie. Siedzę w nim przeszło dwa lata, ale dopiero dziś widzę, że jest ono wcale ładne. Leży na drugim piętrze, okna wychodzą na spokojną ulicę.

Przedpokoik bardzo niewielki, ale na skromne potrzeby wystarcza. Salonik o dwu oknach ma obicia perłowego koloru i piec porcelanowy. Znajduje się w nim stół pokryty dywanem, sześć krzeseł, dwa fotele, duża, bardzo duża sofa, pianino, parę malutkich stoliczków, szafka na książki przyzwoicie oprawne i trochę innych drobiazgów. Zaś w pokoiku sypialnym mam tapety bladoniebieskie, jedno okno, żelazne łóżko, szafę na rzeczy, stolik, przy którym mogę pisywać i jadać, nocną szafkę, krzesła wyplatane. Słowem — mieszkanko jak pudełeczko: nawet mógłbym damy przyjmować, o ile raczyłyby...

Wszystko to odczułem i zrozumiałem dopiero dzisiaj, dzięki przepisowi doktora. W tej chwili również przychodzi mi na myśl, że należałoby nastroić pianino, bo jakkolwiek sam nie grywam, ale gdyby raczyła mnie kiedy odwiedzić jaka dama...

O kobiety!... ile wy dobrego, lecz i ileż złego możecie na ten biedny świat sprowadzić?... My, niby to królowie stworzenia, rządzą państwami, bankami, jesteśmy kasjerami, mężami stanu, buchalterami, feldmarszałkami, a jednak ileż razy szczęście całego życia...

Basta!... Doktor nie pozwolił przypominać sobie minionych cierpień, poić się słodką trucizną, która spala serce, a jednak narzuca się wyobraźni... Odurzenie w goryczy, rozkosz w bólu, nieśmiertelność w konaniu!... Wiem, że mi to szkodzi na nerwy, a jednak wciąż powracam do przekłętego, a tak ukochanego tematu...

Choć doprawdy nie pojmuję, dlaczego nie miałbym bodaj kilka minut popieścić się wspomnieniem okrutnej istoty, która rozdarła mi duszę? Spać przecież będę, jestem pewny, a chwilę pomarzyć, powzdychać...

Byłem tak przekonany o skuteczności przepisów doktora, że pofolgowałem marzeniom... Cóż mi to zaszkodzi, jeżeli nie od dzisiaj, tylko od jutra przestanę myśleć o niej i o moich cierpieniach?...

Człowiek niekiedy czuje dziką potrzebę rozdrapywać zablizniające się rany, i to okrucieństwo na samym sobie sprawia mu przyjemność. Więc i ja czułem rozkosz oskarżając samego siebie o niepowodzenia miłosne. Kto wie, czy słodka Henryka nie byłaby dziś moją, gdybym z nią częściej rozmawiał o sercu i poezji aniżeli o interesach bankowych i Towarzystwie Cyklistów? Nie darmo jedna z jej przyjaciółek, blada i wiotka panna Cecylia, przeżywała mnie „prozą jeżdżącą na rowerze”...

A Karolina?... Czy ona winna, że na lekcjach buchalterii zamiast wzdychać do niej myślałem tylko o rachunkach?... Albo w ostatnich czasach, kiedy już postanowiłem ożenić się, czy widywałem ją jak najczęściej, czy mówiłem o wiekuistym przywiązaniu, czy przepisałem dla niej choć aby jeden wierszyk jakiego modnego poety?... Odwiedzałem ją parę razy na miesiąc, ale więcej troszczyłem się o oszczędzenie stu pięćdziesięciu rubli, aniżeli o zdobycie jej wzajemności.

Ale po co to wszystko: wystarczy jeden fakt dla dowiedzenia, że nie miałem rozumu. Jak mogłem, jak śmiałem, ja, proletariusz z dwoma nędznymi tysiącami rubli pensji, uwielbiać kobietę, o którą starał się człowiek mający dwadzieścia tysięcy rubli rocznie, a obok tego kapitały?

A czy nie powinienem spalić się ze wstydu, że w chwili kiedy za Karoliną szalał dyrektor kopalni, kiedy na przedślubne wydatki złożył u jej stóp sześć tysięcy rubli, ja, nędzny buchalter, targowałem się z samym sobą, czy jej dać dwa tysiące, czy tylko tysiąc rubli na wyprawę.

I czymże jest zawód, jaki mnie spotkał, czym cierpienia, jakich od ośmiu dni doznaję, wobec zaniedbań, nietaktów, a nawet gburostwa, jakie spełniam dawniej niż od pół roku?... I to ja śmiem wyobrazać sobie, że do mego skromnego mieszkania wejdzie kiedy jaka wyższa, jaka uczuciowa kobieta, że zagra na tym pianinie, że usiądzie na tej sofie? O głupcze! powinien byś

uważać się za szczęśliwego, gdyby odwiedziła cię nie jakaś wielka dama, ale pokojówka albo przyzwoitsza kucharka...

Tymczasem noc zapadła, a ja znalazłem się w łóżku, nie wiedząc, kiedy się rozebrałem ani ile czasu upłynęło na marzeniach. Czułem tylko wielkie podniecenie nerwowe, skórę miałem rozpaloną, oddech prędko, a w głowie, w piersiach, nawet w rękach i w nogach gwałtownie uderzały pulsa.

Zdawało mi się, że pokój zaczyna chwiać i posuwać się coraz prędzej, a nareszcie tak szybko, że mi tchu zabrakło. Myśli moje zapalały się i gasły jak błyskawice, przeczuwałem, że stanie się coś dziwnego, ale nie byłem ani niespokojny, ani zaniepokojony, tylko zdecydowany.

Nagle zobaczyłem z daleka fioletową gwiazdę, która szybko zaczęła się zbliżać, rosnać, a gdy zbliżyła się na kilka kroków ode mnie pękła, cicho rozsypując się, niby rzymska świeca, na tysiące innych gwiazd fioletowych. W chwilę później ukazała się druga gwiazda, purpurowa, znowu zaczęła zbliżać się, rosnać i znowu rozsypała się na gwiazdy purpurowe. Po niej nastąpiła gwiazda żółta, zielona, niebieska, znowu fioletowa, coraz w krótszych odstępach czasu, z coraz jaskrawszymi wybuchami. Było to nieme bombardowanie, które cały pokój wypełniło migotliwymi gwiazdami. Gwiazdy te, nie gasnąc, zaczęły wiązać się między sobą promieniami koloru żółtego, zielonego, niebieskiego, purpurowego i utworzyły sieć z drgających węzłów i nitek, które ciągle zmieniały barwę.

Uczułem delikatną woń niby perfum białej róży, a jednocześnie usłyszałem równie delikatny szept, ale nie w pokoju, tylko w mojej własnej piersi: „W taki sposób między sobą i przywidzeniami rozciągnie pan siatkę wrażeń realnych, od których odbijają się widziadła...” — mówił głos męski. Aha!... — pomyślałem — więc tak wygląda siatka wrażeń realnych, o której mówił doktor?... teraz nie potrzebuję lękać się przywidzeń... mogę marzyć...

Dreszcz mną wstrząsnął, usłyszałem bowiem w saloniku głos jej... Karoliny... Siatka z różnokolorowych gwiazd i promieni rozwiała się i pośród błękitnej mgły ujrzałem niezapomnianą kochankę mojej duszy. Ubrana w czarną aksamitną suknię Karolina siedziała na sofie i paliła mnie oczyma, w których głęboki smutek zdawał się walczyć z życzliwością.

Nie!... ja dla tej kobiety nie byłem obojętnym... Ona wiedziała, że w swoich rękach trzyma szczęście mego życia, ona rozumie cierpienia...

I znowu w mojej własnej piersi usłyszałem rzewny głos kontraltowy: „Tak postanowiło okrutne przeznaczenie — mówiła Karolina — że kobieta nie może uszczęśliwić każdego, który ją kocha, chociaż nie byłby jej obojętnym... Ale uspokój się, miłość twoja znajdzie nagrodę... Do którejkolwiek zwrócisz się kobiety, mnie znajdziesz, albowiem ja jestem każdą, a każda— mną...”

Niebiańska postać z wolna rozplynęła się we mgle, lecz w miarę jak znikał obraz Karoliny, błękitna przestrzeń zaczęła napełniać się kobiecymi figurami, z początku niewyraźnymi, stopniowo zarysowującymi się coraz dokładniej i jaśniej. Jedna miała namiętny uśmiech i oczy dziecka, druga — rozpuszczone włosy i twarz świętej; trzecia, w bogatej jedwabnej sukni, zdawała się uosabiać mądrość; czwarta, z precudnymi ramionami, wyglądała na królową; inną, z rękoma opartymi na kolanach, stroił kostium grecki, spod którego wychylały się nadziemskie kształty...

Nie było dwu do siebie podobnych, a jednak każda miała coś takiego, co przypominało Karolinę.

Uczułem, że z oczu płyną mi łzy i że razem z nimi ucieka mój żal do Karoliny, pretensje do jej męża i nieuleczalna rozpacz.

Tymczasem błękitna przestrzeń zaczęła się mącić i zapełniły ją siwe obłoki. Doleciał mnie ostry zapach cygara, a wśród dymu poczęły zarysowywać się trzy ludzkie figury. Przypatrzywszy się uważniej, poznałem olbrzymi wzrost i lwią głowę naszego

dyrektora, żółtawą cerę i łysinę kasjera, a nareszcie — łagodną twarz doktora. Cienie rozmawiały.

„I skąd mu się to wzięło?... — mówił kasjer. — Człowiek spokojny...”

„Jak telefon przed południem” wtrącił dyrektor.

„Kart nie znał...”

„Wolał kobiety...”

„Nie bywał na wyścigach...”

„Ścigał się na ulicy...” — bąknął dyrektor.

„Nie włóczył się po knajpach...”

„Zapewne przyjmował u siebie...”

„Ze wszystkich przyjemności znał tylko jazdę na rowerze...”
mówił kasjer.

„Na czym on jeździł, my nie wiemy — przerwał dyrektor. — W każdym razie był to łajdak, jeżeli nie gorszy, to i nie lepszy od innych...”

„Kiedy bo dyrektor uprzedził się do niego za przetrzymanie urlopu...”

„Więc niech powie doktor, w jakim stanie znalazł go...”

„Tak — odezwał się lekarz — robi to wrażenie obłądu na tle erotycznym...”

„Ale czy to jest obłąd?...” — nalegał kasjer.

„W każdym razie są halucynacje węchowe, słuchowe, wzrokowe...”

„Cóż z nim zrobimy?...” — zapytał dyrektor.

„Trzeba go oddać do domu zdrowia...”

„A więc oddaj go pan i niech już o nim nie słyszę!...” —
zawołał dyrektor.

„Jak to on się nazywa, jak?...” — zwrócił się lekarz do kasjera.

„Anastazy Fitulski...”

— Jezus!... Maria!... — krzyknąłem i półnagi wyskoczyłem z łóżka na środek sypialni.

W życiu jest wiele rzeczy strasznych, ale chyba najstraszniejszą — obłąkanie... Toteż doznawałem takiej trwogi, jakiej chyba nie doświadcza żaden skazaniec na szafocie. Brakło mi tchu, nie wiedziałem, gdzie jestem, ukląknęłam i chciałem złożyć jakąś przysięgę, to znowu zerwałem się, ażeby uciekać z mieszkania... Może nawet wyskoczyłbym z okna, gdyby mi nie zabrakło władzy w nogach, jak to się zdarza podczas przykrego snu.

Z wolna odzyskiwałem przytomność. Znikły cienie, zniknął dym, w pokoju można było czytać. Pobiegnęłam do umywalni, zanurzyłem głowę w wodzie i otrzeźwiałem.

Co się to stało?... Czy spałem?... W każdym razie od podobnych snów niech mnie Bóg na drugi raz zachowa... A może to nie był sen, tylko naprawdę halucynacje?...

W tej chwili nie tylko zrozumiałem, ale odczułem doniosłość przestrogi lekarza, ażeby unikane przywidzeń, ażeby nie marzyć, bo to stanowi rzeczywiste niebezpieczeństwo w mojej chorobie. Zegarek wskazywał czwartą; za kilkanaście minut wejdzie słońce. A ponieważ dziś muszę wyjechać za miasto, bodaj z dziesięć wiorst, więc — nieźle byłoby do jakiejś siódmej godziny poleżeć w łóżku.

Znowu poleżeć?... I może znowu zobaczyć siatkę z gwiazd... widmo Karoliny... piękne kobiety... A potem usłyszeć rozmowę, że jestem wariat na tle erotycznym!...

O Karolino! gdybym kochał cię więcej aniżeli świat cały, więcej niż własną duszę, to jednak po dzisiejszej próbie wyrzekłbym się nie tylko ciebie, ale wszystkich kobiet, jakie były, są i kiedykolwiek będą na ziemi... Już zrozumiałem, że lepiej zostać pustelnikiem aniżeli wariatem...

Słońce weszło. Podniosłem rolety i, ażeby zająć czymś uwagę, sam wyczyściłem kamasze i garderobę, wyjąłem z szafy

garnitur cyklistowski, naoliwiłem panewki roweru i mocno napompowałem obręcz. Ledwie zdążyłem umyć się, szcęknął zatrzask we drzwiach i weszła uśmiechnięta służąca z herbatą. Widok jej sprawił mi pewien rodzaj zakłopotania i przemknęło mi przez myśl, że może by zgodzić do usług lokaja?... Taka młoda dziewczyna wchodzi do mnie, kiedy jej się podoba, nie troszcząc się, że doktor zabronił mi nawet patrzeć na kobiety, nawet o nich myśleć.

— O!... — zawołała — pan sam wyczyścił kamasze?... I wyjeżdża pan rowerem? To trzeba kupić szynki i bułek... Ale wróci pan na obiad?...

Mówiąc tak, uśmiechała się poufale, przewracała oczy i w ogóle robiła miny, które nie zgadzały się z przepisami lekarza. Toteż zirytowany przerwałem:

— Różia za dużo gada... Można i bez gadania przynieść szynki.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— O dlaboga!... rzekła co się też to z ludźmi wyrabia?... Jeszcze onegdaj...

— Mówię, ażeby mi kupić szynki!... — zawołałem, tupiąc nogą.

— Więc to tak?... — odparła rozzuchwalona dziewczyna. — Będę ja teraz wiedziała...

Wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami i dopiero po upływie godziny przyniosła mi jakiś ochłap, który nazwała szynką. Siedziałem zwrócony do okna i anim spojrzał na złośnicę. Na tym samym piętrze, naprzeciw moich drzwi, mieszka młoda wdowa, u której stołuję się i u której służy Różia. Jeżeli nie zerwę tych stosunków, jeżeli nie wyniosę się na inną ulicę, będę do końca życia jadał obiady mdłe, w których najczęściej powtarza się mostek cielecy, będę widywał spojrzenia pełne łez mojej gospodyni, która sądzi, że powinienem się z nią ożenić, i jeszcze będę musiał znosić impertynencje Rózi, która nie wyczyściła mi

dzisiaj butów i odzywa się do mnie jak do równego. Hola!... panienko...

Mieszkanie moje tak mi obmierzło w tej chwili, że pomyślałem, czyby na parę tygodni nie przenieść się do jednego z kolegów, choćby tylko na noclegi. Bo i co ja będę tu robił sam, wobec takich okropnych snów czy halucynacji jak dzisiejsza?... A na diabła mi ten salonik z pianinem, na którym nikt nie grywa, z krzesłami, na których nie ma kto siadać, z kanapą...

No, mniejsza o kanapę, ale z Rózią muszę zrobić ład, jeżeli nie chcę doprowadzić do tego, ażeby mi kołki na łbie ciosała... I to jeszcze wówczas, kiedy doktor zabrania mi myśleć nawet o najdystyngowańszych kobietach, nie dopiero o pokojówkach.

A co!... Dochodzi już dziewiąta, a ja jeszcze w domu. Ubrałem się w popielaty kostium, włożyłem czarne pończochy w żółte pasy, wsunąłem w kieszeń rewolwer, a w torebkę na kierowniku zakalcowate bułki z wysuszoną szynką i — jestem gotów.

Przejrzałem się w lustrze... Ja tak znowu bardzo źle nie wyglądam. I łydki mam jak z żelaza... Ej!... czy kochany doktor nie przesadził ze stanem mego zdrowia?...

Zresztą punkt o dziewiątej zaczynam kurację i będę żył tak higienicznie, tak dietetycznie, że kameduła może mi pozazdrościć... A tymczasem...

— Róziu!... Róziu proszę cię na chwilkę...

To dopiero gałgan, słyszane rzeczy?... ani się odezwie! Swoją drogą, gdyby odtrącić sny okropne, dzień zacząłby mi się dobrze: cały ranek, od wschodu słońca, nie myślałem o zdradzieckiej Karolinie... doktor powinien być ze mnie kontent.

A więc w drogę. Żadnych marzeń, żadnych wspomnień, tylko przypatrywać się ludziom i rzeczom i zdawać sobie sprawę z tego, co mnie otacza. W ten sposób między mną i przywidzeniami utworzy się siatka realnych wrażeń... Br... siatka... Byle nie ta, którą widziałem dziś w nocy...

VI

A teraz opowiem, chwila po chwili, o wszystkich myślach, jakie przesuwały mi się przez głowę, o wszystkich uczuciach, jakie poruszały serce. Uczynię to nie dla prostej reklamy, nie ażeby chwalić się wznoszeniami i upadkami ducha, ale dla nauki moich współpacjentów. Niech nareszcie dowiedzą się, co to znaczy mieć chore nerwy, niech usłyszą, jakim nieprawdopodobnym fluktuacjom ulega dusza ludzka i jak cudny wpływ wywiera na nią natura i świeże powietrze.

O, mój doktor to wielki doktor!... On wiedział, co zapisać. Na pięć minut przed dziewiątą jeszcze byłem w mieszkaniu i w doskonałym humorze. Wyniosłem rower do sieni, lekko sprowadziłem go ze schodów i punkt o dziewiątej znalazłem się przed domem. Ale kiedy rozejrzałem się po ulicy, kiedy zobaczyłem dwa szeregi kamienic bladożółtych, bladoniebieskich, bladozielonych, które przypominały mi szlafroki szpitalne, ogarnął mnie niewymowny smutek.

Czym ja naprawdę zwariowałem — pomyślałem — ażeby w takim stanie zdrowia wybierać się rowerem za miasto?... Przecie i jednej wiorsty nie ujadę... przecie mnie każdy wóz zmiażdży... przecież ja powinienem iść do szpitala i odziać się w taki bladożółty szlafrok, a nie wybierać się na zamiejskie wycieczki.

W dodatku było mi jakby wstyd, że chcę jechać na spacer wówczas, gdy wszyscy moi koledzy, wszyscy ludzie przyzwoici albo wybierają się do swoich zajęć, albo już siedzą w biurach i pracują. I co pomyślą znajomi, jeżeli który zobaczy mnie w powszedni dzień wyjeżdżającego rowerem?... Chyba to, że mnie wypędzili z biura albo że okradłem bank i uciekam!... Zdawało mi się, że nie mogę odetchnąć głębiej, jak gdybym miał sparaliżowane płuca. To znowu uczułem, że z całego ciała

wyrastają mi niby igły cieniutkie jak włos, a długie — jak słupy telegraficzne i że tymi igłami ciągle o coś zawadzam: o kamienicę, o balkon, o latarnię...

— Ależ ja nie mogę jechać!... ja muszę znowu iść do doktora... — krzyknąłem sam do siebie, aż obejrzał się przechodzący posłaniec.

Lecz przypomniawszy sobie, że doktor nie kazał mi przychodzić do siebie, dopóki nie wyjadę za miasto, machinalnie skoczyłem na siodło, ująłem kierownik, nacisnąłem pedały i jak lokomotywa potoczyłem się gładkim chodnikiem. Zręcznie wyminąłem jakąś damę z torbą, przesunąłem się między dwoma bardzo smutnymi Żydkami, zadzwoniłem na bawiące się dzieci i o mało nie przejechałem pieska, który gryzł szpulkę do nawijania nici. Miałem uczucie, że mi wyrastają skrzydła.

A więc ja mogę jechać, bodajby siedemdziesiąt wiorst za miasto!... — pomyślałem.

Lecz w chwilę później już nie myślałem o niczym, ponieważ trzeba było ustąpić z chodnika na środek ulicy, omijać wozy i dorożki i nie potrącać stróżów, którzy jakby umyślnie podsuwali miotły pod rower. Nawet nie wiem, dlaczego panowie ci fatygowali się zamiataniem, w nocy bowiem padał silny deszcz i umył Warszawę jak szklanę.

Cwałowałem ze siedem minut, zwalniając lub przyspieszając biegu. Naraz głód tak skręcił mi wnętrzości, że, zeskoczywszy z roweru, wbiegłem do najbliższej cukierni i zażądałem czekolady. Trzeba dobrze pomieszanych klepek, ażeby jechać na wycieczkę po szklance herbaty!

Siedząc na werandzie przed cukiernią, widziałem studentów, którzy spieszyli na lekcje. Byli to młodzi ludzie, mizerni, w wytartych mundurzynach, w wypłowiałych czapkach, zafrasowani zbliżającymi się egzaminami. A jednak na ich widok uczułem jakby zazdrość...

Prawda, że oni idą do roboty, a ja — na spacer; prawda, że ja będę pił czekoladę, a oni może nie jedli śniadania; prawda, że ja już mam parę tysięcy rubli rocznie, do których im bardzo daleko. Ale za to oni jeszcze uczą się i będą się uczyć, a ja już nie!... Za każdy rok uczenia się chętnie oddałbym dziś rok życia, tylko, niestety — nie ma banku, który zdyskontowałby ten weksel.

Dopiero kiedy człowiek dojrzeje i zdobędzie tak zwane stanowisko, dopiero wówczas zrozumie nie tylko wartość nauki, ale i niepowrotność zmarnowanego czasu. Ilu rzeczy ja dziś nie wiem, o których wiedzą inni; a ile razy palił mnie wstyd za moją niewiadomość!...

Podano czekoladę. Sparzyłem sobie usta, ale nie pozbyłem się przykrych myśli. Czy to ja dzisiaj nie mógłbym mieć dwudziestu tysięcy rubli rocznie, tak samo jak mąż niewiernej Karoliny, gdybym się był porządnie uczył?... Ależ naturalnie, że miałbym!... Przecie w szkołach uchodziłem za jednego z najzdolniejszych uczniów, tymczasem dziś moi mniej zdolni koledzy już porobili kariery, o jakich ja nawet marzyć nie mogę. Pijąc czekoladę i jedząc świeże ciastka, przypominałem młode lata. Do szkół chodziłem we Lwowie, jednocześnie z Fryderykiem Szulcem, synem pewnego emeryta Niemca, i z Baruchem Holzenknopf, jedynakiem Żydówki, wdowy, która miała sklepik galanteryjny. Umyślnie wspominam te dwie osobistości, ponieważ przez wiele lat kpiliśmy z nich nazywając nurkami i kowalami za to, że każdy uczył się nie tylko przedmiotów szkolnych, ale i pozaszkolnych i nie przyjmował udziału w naszych koleżeńsko-społecznych zajęciach.

Pamiętam, że w piątej klasie cały rok zeszedł nam nad roztrząsaniem kwestii, komu by wystawić pomnik we Lwowie — Mickiewiczowi czy Słowackiemu? Jedni głosowali za Mickiewiczem, drudzy za Słowackim, inni za Floriańskim; wytworzyły się partie, miał nawet odbyć się pojedynek... A tymczasem Fryderyk Szulc i Baruch Holzenknopf znaleźli sobie

tanią nauczycielkę i przez ten rok nauczyli się wcale dobrze francuskiego, Od wakacji już każdy z nich czytał francuskie dzieła, co, o ile pamiętam, trochę mnie irytowało. Szulc i Holzenknopf... ma też kto uczyć się francuskiego!... Boże odpuść! W szóstej klasie mieliśmy jeszcze cięższe obowiązki natury ogólnej. Przez pierwsze półrocze roztrząsaliśmy kwestię, czy średnie zakłady naukowe w Galicji nie powinny by wysłać przedstawiciela na sejm krajowy. W drugim zaś półroczu spadła nam na kark sprawa niejakiego Iksowicza podejrzanego o szpiegostwo, którego trzeba było osądzić, wyprawić mu kocią muzykę i powybić szyby.

Tymczasem Fryderyk Szulc i Baruch Holzenknopf znaleźli jakiegoś studenta z wydziału filozoficznego, który za małe pieniądze tak doskonale wyuczył ich fizyki i chemii, że zdali egzamin ze szczególnymi odznaczeniami.

W siódmej klasie było najgorzej. Od wakacji do Wielkiej Nocy opracowywaliśmy projekt przeniesienia do Lwowa najznakomitszych zmarłych rodaków i umieszczenia ich w kościele naszego gimnazjum. Zaś po Wielkiej Nocy, prawie na same egzaminy, musieliśmy zająć się rehabilitacją Iksowicza, który wcale nie był szpiegiem i nawet położył wielkie zasługi w roku w Poznańskim. Zaledwie jednak ofiarowaliśmy mu dyplom honorowy i wieniec obywatelski (w jednym z wieńczących go naszych kolegów Iksowicz poznał zeszłorocznego dyrektora kocięj muzyki!...), przyszła wiadomość, że Iksowicz nie tylko nie położył zasług w Poznańskim, lecz po cichu dawał pieniądze na lichwiarskie procenta w Galicji...

Naturalnie, odebraliśmy mu i dyplom honorowy, i wieniec obywatelski, ale byłem tak zirytowany całą tą awanturą, że o mało nie przepadłem na egzaminach. Wtedy sprawdziłem, że istotnie mam niezwykle zdolności: nieraz bowiem w ciągu dwu dni przygotowywałem się z przedmiotów prawie całkiem nieznanymi!...

A tymczasem Fryderyk Szulc i Baruch Holzenknopf, przy pomocy owego studenta z wydziału filozoficznego, tak wybornie przygotowali się ze wszystkich matematyk, że pomimo dosyć miernych zdolności, otrzymali najlepsze patenty.

Gdy byłem w szkołach, i ja, i moi rodzice marzyliśmy, abym został inżynierem. Na nieszczęście, matematyka przedstawiała mi tyle trudności, że musiałem wyrzec się inżynierii i pojechać do Berlina na wydział handlowy. W Berlinie, ku niemałemu zdziwieniu, spotkałem się z moimi dwoma kolegami-nurkami: Szulc uczył się elektrotechniki, a Holzenknopf — chemii. I znowu przez pierwsze semestry my, handlowcy, mieliśmy dużo pracy doniosłości społecznej: układaliśmy program dla Koła Polskiego w Berlinie. W roku zaś następnym, gdy Koło Polskie propozycji naszych nie przyjęło, zniechęceni do polityki, zajęliśmy się modernistyczną literaturą i sztuką. Tymczasem Fryderyk Szulc od rana do nocy przesiadywał w pracowni elektrotechnicznej, a Baruch Holzenknopf, w chwilach wolnych od zajęć w politechnice, biegał po całym Berlinie i studiował fabrykację i handel mydłem. Wszystko go interesowało: gatunki mydeł, tłuszcze, zapachy, etykiety, reklamy, ceny surowych materiałów, główne rynki zbytu... Dzięki temu zacierzewieniu już w drugim roku studiów między berlińskimi mydlarzami uchodził za powagę.

Śmialiśmy się i z Szulca, i z Holzenknopfa mówiąc, że może wykształcą się w swoich fachach, lecz już na całe życie zostaną obojętnymi dla wyższych zagadnień ludzkiego ducha. Lecz gdyśmy się raz zeszli dla roztrząsania kwestii wschodniej, przekonaliśmy się, że tak Szulc, jak Holzenknopf wcale nie gorzej od nas znali modernistyczną literaturę i najzawilsze kwestie społeczne.

W rezultacie Szulc, ukończywszy wydział elektrotechniczny w Berlinie i zrobiwszy parę wynalazków, starał się o posadę przy politechnice lwowskiej. Lecz gdy mu jej nie dano, przyjął miejsce

w zakładach Siemensa i Halskego, gdzie płacą mu piętnaście tysięcy marek rocznie. Zaś Holzenknopf otworzył pod Wrocławiem fabrykę zbytkownych mydeł, obsadził ją Żydami i swoich robotników dopuścił do udziału w zyskach. Ja, najzdolniejszy spośród moich kolegów, zostałem buchalterem i muszę wysługiwać się innym za dwa tysiące rubli!...

Gdybym uczył się w gimnazjum matematyki i fizyki, byłbym dziś inżynierem, a gdybym w czasie studiów handlowych więcej czasu poświęcał obranemu fachowi, zapewne miałbym dziś większą pensję i wyższy awans przed sobą.

Oto dlaczego za każdy rok nauki oddałbym rok życia i dlaczego widok studentów budzi we mnie żal i zazdrość. Dopilem czekoladę, dojadłem ciastko... basta!... trzeba jechać dalej. Już jest wpół do dziesiątej. W ciągu kilkunastu minut przebiegłem myślą sześć czy osiem lat życia. Dowód, co warte życie ludzkie!

Zapłaciłem kelnerowi, wskoczyłem na siodło, znowu lecę jak ptak. Niebo, o ile je widać spomiędzy dachów, jest pogodne, termometr wskazuje dziesięć stopni, kurzu nie ma, słowem piękny dzień majowy, akurat na leczniczy spacer. Czuję taki zapas sił mięśniowych, iż chyba przez cały dzień mógłbym nie zsiadać z roweru... Wtem na zakręcie ulicy...

To ona!... Karolina... O mało nie dostałem się pomiędzy tramwaj i dorożkę... Na szczęście, nie była to Karolina, ale pani adwokatowa Y., bardzo piękna brunetka.

Nie, ja nie mogę jechać za miasto w takim stopniu zdenerwowania. Już wprawdzie nie mam trudnego oddechu, ale te długie igły w ciele wciąż mi się przypominają, wciąż nimi zawadzam o kamienice i balkony. W dodatku mam nową przykrość: nieopisany wstręt do zakalcowatych bułek i zeschniętej szynki, którą mnie poczęstowała Rózia. Gdyby nie wstyd, rzuciłbym na ulicę te przysmaki, tak obrzydliwymi wydają mi się po czekoladzie i ciastkach.

Co za szkoda, co za szkoda — że wypisałem się z Towarzystwa Cyklistów!... Mógłbym zawrócić do cykłodromu i tam, nie narażając się na oddalenie od miasta, od mieszkania i od pomocy lekarskiej, mógłbym przejeździć kilka zaleconych godzin. Teraz zaś muszę pędzić za miasto... Choć, co prawda, doktor polecił nie tylko rower, ale i wiejskie krajobrazy. Więc brnijmy dalej: niech się dzieje, co chce.

Pełen wahań zbliżam się ku rogatkom. Bruk staje się coraz gorszy, domy coraz niższe, sklepy uboższe, ludzie brudniejsi. Tu z pewnością będę mógł oddać moje bułki i szynkę. Po nierównych kamieniach rower zatacza mi się, a gdy chcę jechać prędzej, podrzuca mną, aż dzwonią zęby.

Masz diable kaftan!... Od rogatek zaczyna się taki zły bruk, że ani sposób jechać środkiem drogi, która w dodatku ma z obu stron głębokie i cuchnące kanały, a za kanałami już nie chodniki, tylko ścieżki błotniste, na których łatwo kogo przejechać i zostać zwymyślanym.

Ten sznur domów niskich, drewnianych, koloru szpinakowego, brunatnego albo czekoladowego, domów, które pochylają się ku ulicy albo grzęzną w ziemi, nazywa się u nas przedmieściem. Sądząc po szybach zakurzonych, niekiedy powybijanych, musi tu mieszkać największa biedota. Jeden sklepik z wiktuałami, drugi z norymberszczyzną, dalej szewc, stolarz i fryzjer (co on tu robi?) — oto przedstawiciele miejscowego handlu i przemysłu. Można by mniemać, że setki mil oddzielają nas od Warszawy, z jej wystawami złota, jedwabiów, ciętych kwiatów, drogich owoców, z jej cukierniami, magazynami strojów damskich i składami materiałów aptecznych, których niedługo będzie chyba więcej aniżeli sklepów z pieczywem.

Naprzeciw domu barwy orzechowej, z szafirowymi okiennicami i czerwonym dachem, rozlała się czarna kałuża, większa od niejednego z warszawskich dziedzińców. Otom

wpadł!... oto spacer!... Z lewej strony kałuża, z prawej kanał mający ze dwa łokcie głębokości, a między nimi — wążutka błotnista ścieżka, na końcu której sterczy jakiś szpakowaty oryginał, bez surduta i kamizelki, ale za to w niezwykle brudnej koszuli i połamanym cylindrze. Uśmiecha się życzliwie i zachęca mnie, ażebym śmiało szedł naprzód. Może by mu oddać bułki i szynkę?

Idę, a w tej chwili z bocznej ulicy wybiega czwórkami banda dzieci i wyrostków obojga płci, mogących mieć od pięciu do piętnastu lat życia. Oczywiście bawią się w wojsko, o dziesiątej z rana!... Na czele tej armii pędzi jakaś dziewczucha w poszarpanej spódnicy, z kołtuniastymi włosami na głowie, na ręku z dzieckiem, którego drobna twarzyczka jest pokryta piętnami i ranami. Za dziewczuchą kilkunastoletni chłopak, z grubym i ochrypniętym głosem, udaje furmana i pogania przed sobą dwu może ośmioletnich malców, a za nimi legion małych i dużych, w kurtkach, surducikach, kolorowych sukienkach, w czapkach sukiennych, kapeluszach albo i z gołą głową; idą wciąż czwórkami.

— Rawniajś!... wrzasnął chłopak grubym głosem, zatrzymując się na brzegu kałuży.

Gromada wyrównała się.

— Siagam, marś!... — zakomenderował znowu i — cała banda runęła w wodę. Trzask, prask, łomot!... poczułem błoto na twarzy, na włosach i na popielatym garniturze... Zanim zdążyłem przetrzeć oczy, banda uciekła. Tylko naprzeciw mnie wciąż stał jegomość w połamanym cylindrze, śmiejąc się głupowato.

— Pięknie wychowujecie dzieci!... — zawołałem wściekły z gniewu.

— Któż ich ma chować?... Chi!... chi!... chi!...

— Od czegoż są rodzice?...

— Rodzice poszli na robotę...

— A ochrony to nie macie?...

— Ochrony?... Chi!.. chi!... chi!...

— A szkoły?...

— Iii chi!... chi!...

Półwariat trzymał w rękach opadające spodnie i śmiał się wciąż. Myślałem, że mu wybiję zęby, ale się pohamowałem i tylko rowerem zepchnąłem idiotę ze ścieżki. O kilkanaście kroków dalej spostrzegłem na kanale jakiś rodzaj mostku i nie bez trudności przeszedłem po nim na drogę. Ohydny jest ten bruk podmiejski; w każdym razie bezpieczniejszy aniżeli kałuża.

Gniewny, z zabłoconym odzieniem i powalaną twarzą, ciągnąłem rower po kamieniach, złorzecząc losowi, że w tym kierunku popchnął mnie na spacer. Nagle spoza żydowskiej fury, z wolna toczącej się gościńcem, ukazała się grupa jeźdźców: dama i dwaj panowie. Mężczyźni mieli brązowe kurtki, świeże cylindry, małe wąsiki i szkiełka w oku, dama w czarnej amazonce posiadała ogromne blond włosy i czarne oczy. Rysów nie potrafię opisać, ale były prześliczne.

Gdy zbliżyli się do mnie, koń damy, przestraszywszy się leżącej na drodze gałęzi, rzucił się w prawo, potem w lewo, potem schylił głowę ku ziemi... Lecz w tej chwili pan jadący z lewej strony, przystojny brunet, schwycił rozhukanego za lejce i w okamgnieniu uspokoił, co zabawiło damę, ale bardzo nie podobało się panu jadącemu z prawej strony.

Wszystko to stało się w kilka sekund i wprowadziło mnie w zachwyty. Zaniepokojone konie groziły mi poważnym niebezpieczeństwem; nie myślałem jednak o tym, lecz utonałem w bohaterskich marzeniach.

W mojej wyobraźni wypadek nie przeszedł tak gładko jak w rzeczywistości. Koń damy rozpedził się na dobre i wobec przerażonych towarzyszków niósł ją po brukowanym gościńcu... Dama, śmiertelnie blada, wypuściła cugle z drobnych rączek, zachwiała się na siodle i już... już... miała roztrzaskać cudną głowę o jeden z przydrożnych kamieni, gdy nagle... młodzian w

stroju cyklisty rzucił się przed oszalałe zwierzę, stalową prawicą uchwycił mundsztuk, osadził konia w miejscu, a piękna dama, zemdlona, osunęła się w jego objęcia.

Tym młodzieńcem — byłem ja.

Nadjechali wykwintni towarzysze damy, zajęli się cuceniem, a przystojny brunet (ten sam, który w rzeczywistości zatrzymał konia) z kwaskowatą miną podziękował mi i zapytał o nazwisko.

— Poważam się być niedyskretnym — mówił elegant — gdyż ojciec panny Heleny zapewne zechce złożyć panu wizytę... i osobiście eeee... tego... za bohaterskie znalezienie się...

— Spełniłem mój obowiązek i nie oczekuję żadnych objawów wdzięczności — odpowiedziałem elegantowi, gromiąc go dumnym spojrzeniem.

Brunet lekko zarumienił się i ścisnąwszy mi rękę szepnął:

— Człowiek taki jak pan nie mógł inaczej postąpić...

Rozstaliśmy się. Wróciłem do domu z niezagojoną raną w sercu; od pierwszego bowiem spojrzenia pokochałem cudną Helenę na wieki.

Postanowiłem nigdy w tym kierunku nie wyjeżdżać za miasto, ażeby po raz drugi nie spotkać tej, której za cenę mego szczęścia uratowałem życie. Los jednak chciał inaczej. W chwili kiedy powstrzymałem oszalałego rumaka, czy może wcześniej albo później, zginał mi zegarek. Ponieważ była to droga pamiątka (kupiłem go, jeszcze starając się o Henrykę), więc ogłosiłem o zgubie w kilku pismach i obiecałem uczciwemu znalazcy dziesięć rubli nagrody.

Jakoż zguba znalazła się. Na trzeci dzień po ogłoszeniu wszedł do mego mieszkania siwy pan, wspaniałego wzrostu, o szlachetnej fizjonomii (był nieco podobny do naszego dyrektora) i, pokazując mi zegarek, spytał:

— To pan zgubił?...

— Tak jest... — odpowiedziałem, sam nie wiedząc dlaczego, bardzo zmieszany.

— Jeżeli tak — odparł starzec o szlachetnej fizjonomii — więc pan uratowałeś życie mojej córce... O, nie wypieraj się! — zawołał. — Kiedy moja córka zemdlona padła w twoje objęcia, zegarek ten dostał się do jej kieszeni...

Milczałem, bo i cóżem miał robić przekonawszy się, że jestem odkryty. Szlachetny zaś starzec mówił dalej:

— Ocaliłeś memu dziecku życie, ale zabrałeś spokój. Posłuchaj mnie, młodzieńcze: Helena pokochała cię pierwszą i ostatnią miłością i umrze, gdybyś nie podzielił jej uczuć... Jestem bogaty... bardzo bogaty... mówił drżącym głosem, a łzy spływały mu po obliczu. W dzień ślubu sto tysięcy rubli daję za Heleną...

— Panie — odrzekłem — będę szczerym. I ja kocham pańską córkę najwyższą miłością, na jaką może zdobyć się człowiek. Ale jestem ubogi, dumny i pańskich stu tysięcy rubli przyjąć nie mogę...

— Szlachetny młodzieńcze — zawołał starzec, chwytając mnie w objęcia — właśnie takiej odpowiedzi spodziewałem się od ciebie... A więc słuchaj... Helena będzie ubogą jak ty... Helena do mojej śmierci nie otrzyma żadnego posagu... Dam jej tylko siedem tysięcy rubli rocznej renty...

— Ha — odpowiedziałem jeżeli tak... jeżeli panna Helena jest biedną...

W tym miejscu piękne moje marzenia uległy przerwie: usłyszałem wrzawę i o kilkadziesiąt kroków przed sobą zobaczyłem widowisko, jakie chyba nieprędko drugi raz ujrzę. Na gościńcu stał wóz otoczony gromadą kobiet i wyrostków obojga płci. Z gromady co chwilę ktoś przybiegał do wozu, schylał się i prędko uciekał, ażeby po chwili — znowu powrócić, z drugiej strony. Za pochylającymi się pędził chłop, odziany w burkę, i wykonywał batem gwałtowne ruchy z góry na dół.

Jakaś bijatyka?... — pomyślałem, przyśpieszając kroku. Kiedym zbliżył się o tyle, że mogłem rozróżnić fizjonomie, do wozu przybiegła dosyć młoda kobieta, w czarnej wypłowiałej

spódnicy i podartej chustce popielatej. Uklękła na ziemi i gorączkowymi ruchami poczęła zgarniać do fartucha leżące pod wozem kartofle. A tymczasem chłop w burce, mocno ujawszy plecione biczysko, z całej siły walił po plecach klęczącą. Kartofle rozsypywały się jej z fartucha, chłop walił coraz gwałtowniej, ale ona nie przestawała zgarniać. Wreszcie zebrawszy może ze dwie kwarty kartofli, podniosła się i zaczęła uciekać w moją stronę. Prawą ręką rozcierała zbite plecy, a lewą ścisnęła fartuch jęcząc:

— O mój Boże!... mój Boże!...

Szłochała tak strasznie, że chłop, rozjuszony, opuścił biczysko. A tymczasem pod wóz rzuciły się inne kobiety i wyrostki i poczęły zgarniać kartofle, czego już im nikt nie bronił.

Może by tej biedaczce oddać bułki i szynkę?... — pomyślałem, patrząc na skatowaną kobietę. Potem zwróciwszy się do chłopca zawołałem gniewnie:

— I nie wstyd wam, gospodarzu, tak mordować...

— To pan się wstydz!... wrzasnął chłop i niewiele brakło, ażeby mnie zwał biczyskiem. — Psie ścierwa!... — wołał — porznięły mi worki nożami, wysypały kartofle i teraz kradną... Z czym ja wrócę do domu?... przecie i ja mam kogo żywić...

Za mną rozległo się ostre gwizdnięcie, a w gromadzie ktoś zawołał:

— Strażniki!...

Kartofle spod wozu prawie znikły i banda rozpierzchła się między budynkami podobniejszymi do chlewów aniżeli do ludzkich mieszkań. Szczególniej uderzył mnie drewniany dom piętrowy, w którym brakło chyba z połowy okien.

— O, teraz możecie się poskarżyć, jeżeli idą strażnicy — rzekłem do chłopca. — Ale bić kobiet nie wolno...

— To się pan skarż!... — odparł chłop.

Zaciał konia, zawrócił i pojechał w stronę przeciwną miastu. I ja wsiadłem na rower, a ponieważ szosa była gładka, więc potoczyłem się jak strzała. Machinalnie patrząc przed siebie,

ażeby nie wpaść na świeży szaber, którym szosę tu i owdzie połatano, zatopiłem się w smutnych rozmyślaniach.

Cóż to za dzicz zamieszkuje najbliższe okolice Warszawy!... Kilkunastoletnie draby zamiast pracować w warsztatach bawią się w konie i w wojsko, a całe gromady dzieci, zamiast uczyć się, biegają po ulicach, obryzgują błotem ludzi spokojnych albo na spółkę ze swymi rodzicielkami w biały dzień na środku gościńca rabują chłopów!... Niejednokrotnie słyszałem o podobnych łajdactwach; ale dopiero kiedy je zobaczyłem na własne oczy, zrozumiałem, jak straszna demoralizacja panuje na naszych przedmieściach.

Biedny chłop, on także jak sam powiedział ma kogo żywić... Co za szkoda, że nie oddałem mu bułek i szynki, ażeby choć w części wynagrodzić...

Nagle błysnęła mi pyszna myśl, prawdziwe natchnienie!... Gdyby na tym przedmieściu założyć ochronę, małe dzieci nie tułałyby się po ulicach, nie oswajałyby się z widokiem przestępstwa i w rezultacie podniosłaby się moralność ogółu. Cudowna idea!... Jak tylko spotkam zacną panią Ulińską, zaraz opowiem jej wypadek z błotem i z kartoflami i namówię, ażeby w tamtej okolicy postarała się otworzyć ochronę. Zaczyna kobieta, która tak mało potrzebuje dla siebie i jest niesłychanie wytrwała, z pewnością urzeczywistni mój pomysł. Ochrona... tak — ochrona!... I to koniecznie w tym miejscu, gdzie łobuzy ochlapały mnie błotem, później można by założyć drugą, tam gdzie kradli chłopu kartofle..

Tymczasem leciałem po gościńcu jak sokół po niebie. Ale przypomniawszy sobie po dziesięciu minutach wścieklej jazdy, że kochany doktor nie pozwolił mi męczyć się, wstrzymałem rower i usiadłem pod topolą obok szosy. Nie było kurzu, wozy pokazywały się rzadko, więc mogłem puścić wodze marzeniom. I otóż zupełnie pomimo mej woli przyszło mi na myśl, że jednak mam dziwnie poczciwe instynkty... Choćby na przykład ten

pomysł ochrony... Iluż to cyklistów, ilu nawet konnych przejeżdżało gościńcem, a przecie nikt nie pomyślał, że na tym przedmieściu należałoby otworzyć ochronę!... No, muszę przyznać, że i ludzie oceniają mnie, przynajmniej do pewnego stopnia... Ktokolwiek mówi o mnie, zawsze musi zakończyć: „Ten Fitulski to, bestia, pyszny chłopak!... Kobieciarz bo kobieciarz, ale co za serce, jaka imaginacja, jakie szlachetne popędy!...”

W tej chwili niewidzialna dłoń fantazji uchyliła przede mną zasłonę przyszłych wypadków. Dzięki ojcu mojej małżonki, Heleny, której uratowałem życie (wtedy na szosie), założyłem w Warszawie naprzód niewielki kantor, a następnie Bank do Handlu z Dalekim Wschodem, którego interesy szły tak świetnie, że po piętnastu latach uczciwej pracy miałem już kilka milionów rubli majątku!... Tak jest, ja, ten sam Fitulski, któremu obecnie płacą sto osiemdziesiąt rubli na miesiąc, miałem swój własny bank i kilka milionów rubli...

Moje powodzenie było tak olśniewające, a moje zasługi tak wielkie, że po ogłoszeniu piętnastego sprawozdania założonej przeze mnie instytucji grono najpoważniejszych obywateli przyszło do mnie z prośbą, ażebym pozwolił uczcić się jubileuszem... Wyznaję, że propozycja zakłopotowała mnie. Lecz gdy przewodniczący delegacji oświadczył, że cały naród pragnie złożyć hołd mojej pracy i zasługom, musiałem schylić głowę... W dniu przeznaczonym na uroczystość, po stosownym nabożeństwie, deputacja obywatelska zawiozła mnie do Szwajcarskiej Doliny. Na ulicach stały gęste tłumy ludu i słyhać było szmer: „To on!... — To ten, co ma swój bank i zarobił dziesięć milionów rubli... To ten, co podał projekt otworzenia ochrony na przedmieściu, gdzie go łobuzy ochlapały błotem...” Przy wejściu orkiestra powitała nas marszem z „Aidy”, zaś w samej Dolinie bardzo liczne grono dam, z różnokolorowymi parasolkami w rękach, ugrupowało się w taki sposób, że każdą

parasolkę białą, czerwoną, niebieską, różową otaczały parasolki zielone. Tworzyło to bukiet różnobarwnych kwiatów na tle zielonych liści.

Kiedy zszedłem ze schodów pokrytych dywanami, dziewczynki (córeczki urzędników naszego banku), ubrane za motyle, doręczyły mi stos telegramów z New Yorku, Londynu, Paryża, Konstantynopola, Teheranu, Pekinu, a nade wszystko z Tobolska, Tomska, Irkucka, Jakucka itd. Jeden z delegatów przyjął depesze, po czym najstarsza, może trzynastoletnia dziewczynka wypowiedziała prześliczny wiersz zaczynający się od słów: „O Ty, co jesteś chlubą narodu, Pozwól, ażebyśmy ci za młodu...” Dalszego ciągu nie pamiętam, ale był tak wzruszający, że obecni mieli łzy w oczach. Ja pohamowałem się tylko dlatego, ażeby oszczędzić łez na najwznioślejszy moment uroczystości.

Na środku Doliny wznosiła się estrada, na niej purpurowy baldachim, a pod nim złożony fotel. Muzyka zagrała marsza z „Tannhäusera”, a jeden z otaczających mnie szepnął: „Niech czcigodny jubilat siada ostrożnie, bo te psiekrwie kelnerzy złamali nogę u fotela...” (Co za dziwaczne pomysły w marzeniach!...). Nie potrzebuję mówić, że usiadłem na fotelu jak na wyostrzonym nożu, przeważnie myśląc tylko o tym, ażeby się nie przewrócić.

Tymczasem pomiędzy zielonością otaczającą Dolinę ukazały się damy w sukniach białych, różowych, niebieskich, pąsowych, co sprawiało efekt żywych konwalii, róż, maków i niezapominajek. Muzyka zagrała „Bohaterski polonez” Szopena i rozpoczęła się defilada. Więc szli finansiści, przemysłowcy, kupcy, przedstawiciele towarzystw pożyczkowych i oszczędnościowych, przedstawiciele cechów rzemieślniczych, przedstawiciele inteligencji, a nareszcie delegowani z przedmieść. Niektórzy spośród nich wyglądali tak okropnie, że doprawdy nie wiedziałem, co robić: utrzymywać równowagę na chwiejącym się fotelu czy pilnować zegarka i portmonetki?

Gdy skończył się pochód, wstąpił na estradę wysoki siwy mężczyzna (bardzo podobny do dyrektora naszego banku) i zaczął:

— Czcigodny jubilacie! Nie będę podziwiał Twego geniuszu, dzięki któremu w ciągu piętnastu lat zdobyłeś wielomilionową fortunę... (Głosy: „Niech żyje!...”) Nie będę podnosił Twoich operacji finansowych, dzięki którym stałeś się jakby kierownikiem handlu z Dalekim Wschodem... (Głosy: „Brawo!... brawo!...”), ale nie mogę pominąć Twoich obywatelskich uczuć, które ogarnęły najskromniejsze warstwy naszego społeczeństwa. Wszakże to Ty, nawet jadąc na spacer higieniczny, zalecony Ci przez światłego lekarza, nawet wówczas zwracałeś uwagę na potrzeby uboższej naszej braci. Orlim spojrzeniem ogarnąłeś demoralizację przedmieść, dojrzałeś młodzież bez pracy, dzieci pozbawione nauki. Wszakże to Ty powzięłeś genialną myśl zbudowania ochrony w miejscu, gdzie dotychczas panował występki albo lenistwo. Wszakże to Ty zachęciłeś zacząć kobietę, ażeby urzeczywistniła wielki Twój pomysł, Ty dodawałeś otuchy w chwilach niepowodzenia, Ty niejednokrotnie zwiedzałeś wznoszący się budynek, a każda Twoja wizyta nie tylko potęgowała siły pracowników, ale i nade wszystko w dziwnie uszlachetniający sposób wpływała na mieszkańców przedmieścia. Toteż gdy przed kilkunastoma laty nie wstydzono się na przedmieściach rabować pracowitych wieśniaków, wiozących jarzyny do miasta, dziś niejedni wolałyby umrzeć z głodu na cudzych kartoflach aniżeli wyciągnąć do nich świętokradzką rękę!

Długo jeszcze w ten sposób mówił przedstawiciel wdzięcznego społeczeństwa, ale uwaga moja była tak zajęta przewracającym się fotelem, że niewiele słyszałem. To wiem, że na zakończenie pięknej mowy reprezentant podał mi brązowy medal wielkości talerza. Na jednej jego stronie był wizerunek ochrony, na drugiej — mój portret, otoczony laurowym wieńcem.

Nagle usłyszałem turkot wozu... Ocknąłem się... Gdzie ja jestem?... Jestem przy szosie, pod topolą, a obok mój rower. Więc znowu puściłem cugle fantazji, znowu wbrew najsurowszym zakazom doktora poddałem się przywidzeniom, znowu zaostrzyłem moją chorobę!... Basta!... Od tej chwili nie pozwalam sobie na żadne marzenia... Będę patrzył, będę słuchał i tym sposobem między mną i halucynacjami rozciągnę siatkę realnych wrażeń...

VII

W tym miejscu droga staje się coraz mniej zajmującą. Topole, dotychczas gęsto wysadzone wzdłuż szosy, ukazywały się coraz rzadziej; niektóre były obdarte z kory i uschnięte, z innych pozostały tylko pnie, strzaskane i wypróchniałe.

W dalszym ciągu drogi widocznie ktoś próbował sadzić młode drzewka; ale wszystkie były porąbane, połamane, powykręcane. Z żadnego nie wyrósł listek, sterczały tylko czarne kije. Nareszcie i kije znikły, a zostały słupy telegraficzne i kamienie pomazane wapnem, stojące jeden od drugiego w równych odstępach.

Ruch na szosie jakby ustawał. Bliżej Warszawy co kilka minut spotykało się furki chłopskie, bryki żydowskie, niekiedy elegancki powozik i sporo pieszych podróżnych. Tutaj wyminęło mnie dwu kominiarzy z pękatymi miotłami na plecach i dwie jasno ubrane baby, z których jedna niosła w wyciągniętej ręce kamasze, jakby chciała się nimi popisywać.

Nareszcie i baby zostały w tyle, a ja znalazłem się sam na pustej, białej szosie, mając z prawej i z lewej strony bezgraniczną równinę, tak majowo zieloną, tak bardzo zieloną, tak strasznie zieloną, że przypominała zielone fartuchy niemieckich chłopców hotelowych albo zielonym sukniem kryte stoły naszego banku.

Łan żyta, łan pszenicy... potem łan pszenicy i łan żyta, a dalej znowu łan żyta i łan pszenicy... Każdy łan składa się z kilkunastu zagonów, każdy zagon ma kilkaset łokci kwadratowych powierzchni, a na każdym łokciu rośnie po kilkadziesiąt zielonych ździebeł, które od wschodu do zachodu słońca tylko nad tym pracują, o tym myślą i tym żyją, aby na jesień wyrobić kilkadziesiąt ziaren dobrze naładowanych mąką.

Tak pilnych, tak rzetelnych, tak uczciwych i niestrudzonych pracowników, jakimi są rośliny, człowiek już chyba nie znajdzie. Są one pracowitsze od wszystkich urzędników banku, nie wyłączając naszego kasjera, ale zarazem są tak nudne, że patrząc na ich przezacną zieloność nie mogę wstrzymać się od ziewania. O, tamta dzika gruszka, jedyne drzewo, jakie widzę na horyzoncie, ma dla mnie tysiąc razy więcej powabów aniżeli te zielone i płaskie łany, które mnie ze wszech stron ogarniają, zalewają, prawie chcą zatopić... Ale grusza pochyliła się i wygląda tak, jakby pragnęła cichaczem wynieść się z arcynudnej okolicy.

Tak mi tu było pusto, tak tęskno, tak źle między bogatymi polami, zapracowanymi źdźbłami pszenicy i żyta, że już chciałem wracać do miasta. Prawda, że dziesięciu wiorst jeszcze nie przejechałem, ale na pierwszy raz i tego będzie dosyć... A więc... raz, dwa, trzy!...

Wtem z daleka, na lewo od szosy, mignęło coś czerwonego i żółtego... Co to może być?... Nawet widzę jakieś krzaczki... Aha!... O, to ze mnie domyślny!... Naturalnie, że dziewczyna wystrojona w czerwony kaftan, zieloną spódnicę i żółty fartuch, który niekiedy wiatr rozwiewał i odrzucał w moją stronę, choć ona oddalała się ode mnie.

No, oddalała się... Nacisnąłem silniej pedały i jużem ją dopędził... Nic osobliwego, ale też i niczego dziewczucha: włosy ciemne, twarz rumiana, okrągła... W oczach eleganckich warszawianek wyglądałaby ordynarnie, ale tu, naprzód, nie ma

warszawianek, a po wtóre — ja, jeżeli mam być szczery, nie lubię takich ultraarystokratycznych gustów. Pyta kto sarnę, czy skończyła pensję?... czy umie po francusku?... albo czy gra na fortepianie?... Nikt nie pyta. Każdemu wystarcza, że piękne to stworzenie ma zgrabne ruchy, miły pyszczek i smaczne mięso. A tymczasem wobec wiejskich dziewcząt nasze panny ogromnie zadzierają główki...

Trzeba się nareszcie pozbyć nieuzasadnionych grymasów... Dawno już minęły czasy, kiedy dzielono ludzi na dobrze i źle urodzonych.

— Niech będzie pochwalony! — odezwałem się, zrównawszy się z dziewczyną, która szła rowem.

Nie odpowiedziała. Jak to teraz pobożność upada między ludem I

— Daleko idziesz, dziewczynko?... — odezwałem się znowu.

— Gdzie oczy poniosą... — odparła krótko,

— A czy mogę jechać przy tobie?...

— Pan tędy nie przejedzie... — rzekła i wyszła z rowu na pole.

Pomyślałem, ażeby oddać jej bułki i szynkę, której obecność ciągle mi dokuczała. Więc zatrzymawszy rower zsiadłem, a dziewczucha — odbiegła jeszcze dalej za rów, a następnie zaczęła uciekać miedzą w pole.

— Stój!... — zawołałem. — Zaczekaj!... ja ci coś dam!...

Ale!... Tak pędzi po nierównej miedzy, że nie dogoniłbym jej rowerem. Głupie te wiejskie dziewczuchy i ordynarne. Żadnej delikatności...

Tymczasem okolica zmieniła się. Na prawo od szosy z daleka widać w szczerym polu kilka budynków gospodarskich; na lewo, tuż przy szosie, jakiś gaj. Jednocześnie zaleciał mnie dziwnie miły zapach, ale tak delikatny, że nie umiałem go określić.

Co to może być?... — pomyślałem, ale w tej chwili zapach zniknął. Może go wcale nie było?... Owszem, jest znowu... Naturalnie, że jest to woń jakichś wiosennych kwiatów, ale jakich?... Znowu zgasł...

A jednak ja tę słodką woń znałem, pamiętam ją z czasów dzieciństwa, które zeszło mi na wsi... Boże, jaki ja wtedy byłem szczęśliwy i jak żywo przypominały mi się tamte lata!... Ale co to za zapach?...

Jestem pewny, że ogniskiem zapachu jest tamten gaj, na lewo od szosy. Ileż to stąd może być?... Niechby dwie wiorsty, więc wielka rzecz!... No, ocknijże się, panie Fitulski!... nie można być zawsze niedołęgą... Poznaj bliżej tamten gaj i ten dziwny zapach... konwalia... nie konwalia?...

Jazda!... Pomimo że droga lekko wznosi się, znowu popędziłem jak strzała. Kiedy człowiek siadł na rower, nie może wlec się jak sparaliżowany...

W miarę zbliżania się do kępy drzew, zapach coraz silniej czuć było w powietrzu. Ależ naturalnie, że ja go znam: to pachnie czeremcha, stara przyjaciółka naszego wiejskiego domu, której od tylu lat nie widziałem! Gaj wprawdzie leży o setkę kroków od szosy, przy drodze piaszczystej i niewygodnej, ale kto by zważał na podobne drobiazgi.

Znowu trzeba było zsiąść z roweru i pieszo przebrnąć ławicę piasku, poza którym znajdował się las, a raczej zbiegowisko ogromnych sosen, lip dziwacznie powyginanych, szerokopiennych wierzb z najeżonymi głowami, nawet dębów. Miałem wrażenie, że jestem na jakimś rynku, kędy zeszyły się drzewa z różnych okolic, ażeby zobaczyć kwitnienie jabłoni, grusz i wisien. Istotnie, w głębi gaju widać kilka czystych chałup otoczonych małymi sadami, w których owocowe drzewa wyglądały jak zasypane śniegiem.

Przed najbliższą chatą kwitły dwie czeremchy i one rozlewały ten silny zapach, który mnie tak zaciekał na szosie.

Między czeremchami pochylał się pień wierzby, niby człowiek upadający na ziemię, a naprzeciw niego stało kilkoro ludzi i tańczyła, wyskakiwała, klaskała w ręce gromadka rozkrzyczanych dzieci, które, o ile mogłem zrozumieć, na rozmaite głosy powtarzały:

— Jastrząb!... jastrzębia!...

Gdy zbliżyłem się do nich, spostrzegłem, że obok radosnych krzyków dzieci toczy się spór między niewysoką babą w różowej spódnicy i żółtej chustce na głowie a starym chudym chłopem w sukmanie zarzuconej na ramiona. Również zmiarkowałem, że starego chłopca popiera jakiś podróżny w czarnym, zniszczonym kapeluszu, szarym surducie, z wypakowaną płachtą na plecach. Trochę z boku od nich stał chłop z odkrytą głową, z zawiniętymi rękawami koszuli i trzymał wielki kamień wapienny.

— Wy róbtą, jak wam lepiej, a ja com widział, tom widział — mówił stary chłop. — Kiedy Szymek Latoch przybił sowę do płotu, piorun trzasnął i spalił mu wszystkie budynki...

— Ale jego, złodzieja, piorun nie mógł trzasnąć, kiedy mi niszczył kurczęta bez cały rok?... — krzyczała niska i chuda baba, w której oczach paliła się złość, a w ustach okrucieństwo.

— Jego syny i wnuki do dziesiątego pokolenia będą pamiętali karę i żaden psubrat już tu nie przyleci — dorzucił chłop z kamieniem w rękę.

Miał on twarz surową i głupią.

— To nic nie pomoże!... — odezwał się podróżny z łagodną fizjonomią. — Prusak nigdy by tego nie zrobił. On strzela drapieżników, ale najpierwej buduje dla drobiu wielkie kojce z drucianych siatek, gdzie kura może sobie chodzić, ile chce, a jastrząb do niej się nie dostanie.

Tymczasem dzieci wciąż tańcowały, klaskały w ręce i krzyczały:

— Jastrząb!... Jastrzębia przybili!...

Podszedłem bliżej do gromady, machinalnie spojrzałem na szeroką wierzbę, stojącą między czeremchami, i struchlałem... Do wierzby był przybity za skrzydła spory ptak z krzywym dziobem, białym brzuchem i żółtymi nogami. Ptak żył. Niekiedy rzucał się tak gwałtownie, że krew spływała mu ze skrzydeł, to znowu potężnymi szponami chwycił powietrze, to znowu kręcił głową i oglądał się, nie tyle przerażony, ile zdumiony swoim losem. Nagle zasyczał z bólu, a żółte palce tak dziwnie poplątały mu się, że był podobny do człowieka, który załamuje ręce. Na ten widok zaszumiało mi w uszach i wydobyłem z kieszeni rewolwer.

— Odsuńcie się!... zawołałem na dzieci.

— Patrzajta! patrzajta!... — wrzasnął dziesięcioletni chłopak w barchanowym odzieniu. — Patrzajta!... pan będzie strzył z liwerweru!...

Stary chłop podniósł rękę do kapelusza, dzieci umilkły, nawet zła baba cofnęła się o kilka kroków. Ja zaś nie potrafię opowiedzieć, jakich uczuć doznawałem w tej chwili. Gniew na barbarzyństwo chłopskie, litość dla pokrzywdzonego ptaka, bohatera duma... rozpierały mi serce. Nade wszystko jednak czułem, że jestem człowiekiem sytuacji i że kilkanaście par oczu przypatruje mi się z obawą i podziwem...

Stałem w pozycji, lewą rękę oparłem na plecach, prawą niby żelaznymi kleszczami ująłem broń, podniosłem lufkę do góry, naprowadziłem ją na rzucającego się ptaka i — z wolna zacząłem przyciskać cyngiel... Skończą się twoje cierpienia, biedaku... — pomyślałem. A wtem...

— Paf !... — zawołał chłopak w barchanach.

— Żeby cię kolka sparła!... — mruknąłem czując, że w chwili strzału rewolwer uchylił mi się w bok i kula poszła między kwitnące jabłonie.

Gdyby tylko poszła!... Ale ona jeszcze zostawiła wyraźną rysę na wierzbie o pół łokcia od jastrzębia.

— Usunęło się przed wielmożnym panem drzewo!... — rzekł stary chłop przypatrując mi się z dobrodusznym uśmiechem.

Chciałem strzelić drugi raz, ale tymczasem chłop z zawiniętymi rękawami zawołał:

— Kiedy ma, bestia, ginąć, niech ginie z mojej ręki...
Masz!...

I rzucił w jastrzębia kamieniem z taką siłą, że prawie zmiażdżył ptaka, z którego została kupa zakrwawionych piór i drgający ogon.

Ponieważ wypadło coś powiedzieć, więc zwróciwszy się do złej baby rzekłem:

— A na drugi raz nie przykuwajcie żywych ptaków, bo w Warszawie jest opieka nad zwierzętami i mogłaby was zaskarżyć do sądu...

Baba założyła po napoleońsku ręce na piersiach i zuchwale patrząc mi w oczy, odpowiedziała:

— Dopraszam się łaski wielmożnego pana, a czy w Warszawie zapłacą mi za kurczęta, co ten psubrat wyłapał?...

— Nie gadaj dużo!... — ofuknął ją człowiek z zawiniętymi rękawami, oczywiście mąż.

Pożegnałem ich: „Niech będzie pochwalony...” i zawróciłem do szosy, a za mną poszedł chłop podróżny.

— Oto dziczyna!... — rzekłem do niego, kiedy nieco odsunęliśmy się od gromady.

— Ciemnota!... — odparł wędrowny. — Takemu się zdaje, że taniej przykuć jastrzębia aniżeli zbudować kurom należyty kojec... Ale co prawda, nie każdy gospodarz miałby u nas pieniądze na siatkę... U Prusaków co innego... Tam i rzeczy tanie, i pieniądze mają...

— Byliście w Prusach? — zapytałem.

— Oj!... oj!... — odparł, lecz nagle umilkł i odwrócił się.

Za nami biegły dzieci, z którymi rozstaliśmy się przed chwilą, a najstarszy chłopak mówił krzykliwie:

— Chodźta żywo... będziemy się bawić w jastrzębia!...
Macie gwoździe?... Józek będzie jastrzębiem...

Zimno mi się zrobiło, kiedym to usłyszał. Lecz zanim namyśliłem się, co robić, już wędrowny chłop zawołał:

— Dam ja ci, hyclu, jastrzębia, dam ja ci gwoździe, aż ci się pysk na drugą stronę wykreści... Panie gospodarzu!... — dodał podnosząc jeszcze bardziej głos — panie gospodarzu, a chodźta ino...

Chłop z zawiniętymi rękawami i drugi, stary, bez pośpiechu zbliżyli się do nas, a podróżny opowiedział im o projektowanej zabawie w jastrzębia. Obaj wysłuchali spokojnie, tylko młodszy z nich pogroził chłopakowi pięścią i rzekł:

— A skalicz który którego, to ci podziękuję...

Po czym chłop z sukmaną na ramionach i ten z zawiniętymi rękawami wrócili w stronę chałup, a ja z wędrowcem skierowaliśmy się do szosy.

Mój towarzysz podobał mi się coraz więcej, że zaś szedł od Warszawy; więc umyśliłem doprowadzić go kawałek drogi, a następnie wsiąść na rower i wrócić do miasta.

— To byliście w Prusach? — zacząłem rozmowę na nowo.

— O, ile razy!... Co roku, przez pięć lat...

— A nie wstyd to wysługiwać się Szwabom?...

Mój towarzysz chwilę milczał i patrzył na mnie smutnym wzrokiem. Wreszcie rzekł:

— Jak to każdy pan, ze wsi on jest czy z miasta, jednakowo gada... Panowie, mający sami z siebie pieniądze, nie potrzebują wysługiwać się nikomu; ale człowiek prosty zawdy musi się komuś wysługiwać, czy tu, czy w Prusach...

— Ale tu wysługuje się swoim — wtrąciłem. Chłop pokiwał głową.

— Słyszałem ja ci to nieraz — mówił — więc musi być prawda. Musi to prawda, że lepiej swojemu służyć w Wielki Piątek aniżeli obcemu w Wielką Niedzielę... No, ale przecie

człowiek musi nie tylko robić, ale jeszcze zjeść i trochę odziać się, i dzieci nakarmić, i w piecu napalić... A skąd na to wszystko?...

— Jakże skąd?... Przecież wam płacą za robotę...

— Prawda, że płacą. Ale kiedy siedzę i robię w kraju, a żona także chodzi na zarobki, to mamy, daj Boże dobrego, sto pięćdziesiąt rubli na rok. Zaś ile razy byłem w Prusach przez lato, pomimo wydatków na kolej, mamy przez rok sto osiemdziesiąt rubli.

Stanął na drodze, oparł się o kij i mówił patrząc mi w oczy: Jeszcze, widzicie, panie, jest taki interes. Kiedy my, niby z kobietą, mamy sto osiemdziesiąt rubli na rok, to my już jesteśmy wielkie państwo. To już co dzień jadamy barszcz i kartofle, a ze dwa albo i ze trzy razy na tydzień kluski czy kaszę. Ale jak zarobimy sto pięćdziesiąt rubli na rok, to już barszcz u nas nie co dzień, a kluski czy kasza tylko w niedzielę, i jeszcze człowiek musi się na parę rubli zadłużyć...

Ponieważ to opowiadanie trochę mnie kłopotąło, więc przerwałem:

— A jakże was tam Prusacy traktują?

— Dobrze traktują. Dają śpek, kartofle, krupy...

— Ale złością się na was, że gadacie po polsku?...

— Co się mają złościć?... — odparł chłop. — Oni jeszcze sami uczą się po polsku. Jeden, niby pan Treskow, com u niego był w przeszłym roku, jak nieraz zacznie gadać: świnia, psiakrew, cholera!... to tak ślicznie, jakby się tutaj urodził.

Oto głupi chłopina!... — pomyślałem i, ażeby skończyć z niesmacznymi historiami, rzekłem wskazując naokoło siebie:

— Ale na wsi smutno... Pola puste... ludzi ani na lekarstwo...

Chłop wyszczerzył białe zęby w szerokim uśmiechu i zawołał:

— Albo se pan kpinkują ze mnie, albo co?... Gdzież tu smutno?...

— Pusto...

— Gdzie zaś pusto? — śmiał się chłop. — Niech ino pan spojrzy — mówił, pokazując na lewą stronę szosy. — O, widzi pan... raz... dwa... trzy... we cztery pary koni bronują, pewno kartofle... A o tam, o... Raz... dwa... chyba że ze siedmioro ludzi zzynają wybujął pszenicę... A o tam musi gipsują groch, a może koniczynę...

Odwrócił się w prawą stronę szosy i przysłoniwszy oczy ręką prawił dalej:

— No, tu z brzegu nie ma nic. Ale widzi pan tam, dalej, niby sznur drzew? Między drzewami chałupy, a przy chałupach baby płótno blichują ...

Przysłoniłem i ja oczy ręką, ale nic nie dojrzałem.

— A o tam znowu sieją, pewnie mieszankę... A o tam raz... dwa... trzy pługi... I tu pusto ma być?... i tu smutno?... Przecie ja wiem, co znaczy wieś i co znaczy miasto, ale w żadnym, choćby największym mieście, nie snuje się tyle ludzi co po naszych polach.

Ponieważ droga w tym miejscu zniżala się, więc wszystkie przedmioty, które chłop ukazywał przed chwilą, znikły i widać było tylko pole — zarośnięte z lewej strony pszenicą, z prawej żytem.

— A tutaj, czy także snuje się dużo ludzi? — zapytałem wskazując na ogromną pustkę.

Chłop podciągnął swój tłumok na plecach, znowu oparł się na kiju i patrzył na mnie, zdziwiony.

— A bo nie?... — odparł. — Przecie pan widzi te zagony — mówił wyciągając rękę do pszenicy — dyć one same się nie zrobiły. Chodzili tędy ludzie z końmi i pługami, potem z bronami... Po nich przeszli siewce, a potem znowu brony... Jak zaś pszenica dojrzeje, przyjdą chłopcy z kosami, może baby z sierpem, a może i żniwiarka, co ma skrzydła jak wiatrak... A kiedy już pszenicę zetną i zwiążą, przyjadą wozy i wysuszone

snopy odprowadzą do stodół. Potem owczarz zapędzi tu swoje stado, owce wyzbierają ziarno, a potem przyjadą znowu pługi i fury z nawozem, ażeby przysposobić grunt pod kartofle...

Niechże pan sam powie — zakończył — czy na polach nie snuje się więcej ludzi aniżeli w największym mieście!...

— Ale wy tych ludzi teraz nie widzicie?...

— Co nie mam widzieć?... Tylem się przecie na nich

napatrzył, że ino spojrzę po łąkach, zaraz mi wyrastają ze ziemi chłopcy i baby, pługi, wozy, siewniki i żniwiarki...

O mało go nie uściskałem!... Ależ ten poczciwy chłop, ta najzdrowsza istota pod słońcem, która nawet z nazwiska nie zna nerwów, ten poczciwy chłop ulega przywidzeniom nie gorzej ode mnie... A kochany doktor tak mi się kazał zabezpieczać przeciw widziadłom, tak mi zabraniał marzyć, tak zalecał siatkę z wrażeń realnych!... Jeżeli ten nieborak na pustym polu widzi tylu ludzi co w mieście i to ma umysł normalny, to dlaczegoż ja, wobec widma Karoliny i garsteczki ładnych kobiet, miałbym się uważać za wariata?... Wcale nie jestem wariat i nie będę nim, choćbym po kilka godzin na dzień marzył o pięknych kobietach, które jakiś wieszcz, a może filozof, słusznie nazwał ozdobami świata...

W tej chwili, ciągle idąc szosą, weszliśmy na szczyt dość wysokiego pagórka. Cóż to za niezrównany widok, pomimo całej prostoty!... Na lewo łąka, za nią wieś; na prawo jakaś rozległa woda, chata otoczona kwitnącymi jabłoniemi i las. Naprzeciw, na końcu szosy, kępa wysokich drzew, spoza których wyglądają jakieś budynki. Czuję, że dusza rozplywa mi się w spokojnym szczęściu.

— Nie wiecie, co to jest? — zapytałem.

— Wiem, panie — odpowiedział chłop. — To miasteczko, Małocin.

— Daleko stąd?

— Może ze dwie, może ze trzy wiorsty...

Do tej pory ciągle mówiłem w duchu: Przejdę jeszcze paręset, jeszcze ze sto kroków i wracam do Warszawy. Ale w tej chwili tak podobała mi się okolica, a chłop swoimi widzeniami takiej dodał mi otuchy, że zdecydowałem się jechać do miasteczka. Pola wydają mi się inne, od czasu gdy prosty człowiek wytłumaczył mi, że roi się na nich mnóstwo ludzi...

— No — rzekłem do mego towarzysza — dziękuję wam, człowieku, żeście mnie tak rozerwali... Za to na waszą intencję skoczę do tamtego miasteczka...

— Niech Pan Bóg prowadzi — odparł chłop, uchylając starego kapelusza.

Przy tym patrzył mi w oczy, jakby miał do mnie prośbę. Lecz ponieważ nie chciałem demoralizować jałmużną dobrego człowieka, więc siadłem na rower i szybko pomknąłem w stronę ukazującego się między drzewami miasteczka.

Jadąc, myślałem, że jednak ten chłop jest naprawdę uczciwym i rozsądnym człowiekiem. Jak to on oburzał się za dręczonego ptaka... Jak on energicznie zapobiegł głupiej zabawie dzieci w jastrzębia! A jak tłumaczył ciemnym chłopom, że praktyczniej jest zbudować porządny kojec aniżeli przygważdżać ptaki do drzew...

Zacne chłopisko... Szkoda, że mu nie oddałem moich bułek i szynki... Jeżeli naprawdę będę miał kiedy własny bank i zarobię kilka milionów rubli, natychmiast z dziesięć tysięcy poświęcę na założenie instytucji, która tu, w kraju, dostarczałaby pracy ludziom zmuszonym wychodzić na zarobki za granicę. Będzie to niezłe kolnięcie Prusaków!...

Już ujechałem z wiorstę, a jednak nie mogłem zapomnieć o tym chłopie. Oto prawdziwy przedstawiciel naszego ludu: biedny, pokorny, rozsądny, a tak pełen dziwnej poezji... Nawet w pustym polu widzi pługi, brony, siewców i żniwaków...

*O pieśni ludu, ty arko przymierza
Między nowymi i starymi laty!...*

Czy nie byłoby dobrze (kiedy już dorobię się dziesięciu milionów rubli), czy nie byłoby dobrze otworzyć przy gościńcach kilka bezpłatnych gospód dla poczciwych, wędrownych chłopów?... Niechby tam sobie co zjadł, napił się, odpoczął taki podróżny... Choć, co prawda, nie każdy chłop jest uczciwym... Na przykład ten, który przygwoździł jastrzębia do wierzby, albo tamten, który tak strasznie zbił kobietę za kartofle...

Na myśl o bezpłatnych gospodach dla wędrujących chłopów uczułem głód i pragnienie. Z jakim smakiem zjadłbym teraz befsztyk z kartofelkami i ogórkiem! A z jaką przyjemnością wypiłbym parę szklanek herbatki z cytryną!...

Szosa zaczyna się ożywiać. Minał mnie chłopski wózek zaprzęgnięty w jednego konia; potem furka we dwa konie... Rowem idzie baba i prowadzi krowę na sznurze... gdzieś z daleka słychać przeraźliwy kwik wieprza... Ba! gdybyż to jeden kwiczał... Ale odzywa się ich kilka, a każdy innym głosem, choć wszyscy jednakowo niecierpliwie. Całe szczęście, że nie ma kurzu i najmniejszy obłoczek nie tylko nie gryzie w oczy, ale nawet nie zasłania prostego, cudnego widoku. Ta na przykład wioska na lewo... Nowa chata między kwitnącymi bzami... krzaki, płoty, pole wymalowane kilkoma odcieniami zieloności... Gdzie estetyk, gdzie psycholog, który wytłumaczyłby mi, dlaczego taki pospolity, marny obrazek tak głęboko wstrząsa duszę?... Szczęśliwi chłopci, którym całe życie upływa wśród pięknego otoczenia, w potokach światła, woni świeżego powietrza i — ciszy, ciszy, ciszy...

Już na kilkaset kroków przed miasteczkiem można poznać, że odbywa się w nim jarmark: świadczy o tym mnogość ludzi i wozów, daleki zgiełk, bliskie okrzyki, nareszcie — tak zwane sceny charakterystyczne. Podstarzały chłop, nadużywszy jarmarcznych uciech, nie tylko musiał oddać bat i lejce swojej żonie, ale jeszcze w żaden sposób nie może umieścić się na wozie. Dwaj chłopci w siwych sukmanach kończą targ o

zamyśloną krowę, a stary Żyd pełni między nimi rolę arbitra. Rzewnie płacze dziewczynka w różowej sukience, którą prawdopodobnie zgubili opiekunowie, a dwie baby lamentują nad nową skrzynią, u której złamało się kółko.

Miasteczko składa się z domów parterowych, przeważnie drewnianych. Główną ulicę wypełniają wozy, jedną z bocznych przyozdabia ogromna kałuża, w której naturalnie bawią się dzieci. Jeszcze parę kroków jazdy i trafiam na taką ciżbę, że muszę zsiść z roweru. Trzech chłopów pakuje na wóz olbrzymią, wniebogłosy krzyczącą świnię; dwie baby — młoda i starsza — usiłują namówić podeszłego wieśniaka, żeby ubrał się w kurtkę, którą zdjął nie wiadomo po co. Ludzie tłoczą się około straganów z czapkami, z pieczywem, z jaskrawymi zabawkami; kupują uprząż, sita, garnki i odzienie... Tłum popycha mnie na skład beczek i szaflików, a gdy cofam się, ażeby nie uszkodzić roweru, chwyta mnie w rozkrzyżowane ręce dziad, który w zamian za parę groszy obiecuje mi wyjednać zbawienie wieczne, choć ma twarz zarośniętą jak pinczer.

Nowa ciżba przy straganie ze słoniną i wędlinami, które wyglądają co prawda obrzydliwie, niemniej jednak przypominają mi, żem głodny. Ach, gdyby tak befsztyczek z kartofelkami!... I jak tu nie wierzyć w potęgę bezświadomych procesów duszy: ledwie pomyślałem o befsztyku, machinalnie odwracam głowę i — o kilkanaście kroków — widzę żółty murowany domek; jedną jego połowę zajmuje sklep norymberski, drugą... restauracja!... Rozpycham tłum, wpadam w błoto, dostaję nową konewką w plecy, jakaś baba wymyśla mi, żem ją potracił rowerem, ale znajduję się przed restauracją, niepewny, gdzie umieszczę swoją maszynę.

— Ja będę pilnował wózka... — odzywa się jakiś chłopak z twarzą skończonego łajdaka, ale bardzo mądrym spojrzeniem.

— A cóżeś ty za jeden?

— My mamy restaurację...

— A dostanie u was co zjeść?...

— Oj!... oj!...

— I nie zepsujesz mi roweru?...

— Ja bym tam miał zepsuć!... odpowiada chłopak z dumą.

Patrzę na niego zdziwiony, a w tej chwili czuję z boku zapach wódki i słyszę głos:

— Ho!... ho!... on i naprawić by potrafił...

Słowa te wypowiada mieszczanin z pijacką twarzą i załzawionymi oczyma. Ponieważ spostrzegłem, że jegomość ma ochotę do serdeczniejszej pogawędki, więc zaleciwszy chłopcu, ażeby nikomu nie pozwolił dotknąć roweru, wchodzę do restauracji.

Ścisk, wrzask, zaduch, upał... Przebijam się do bufetu, odsuwam dwu chłopów padających sobie w objęcia i uciekam przed zamorusaną dziewczyną, która niosła kilka porcji kiełbasy z sosem i kapustą. Ponieważ właściciel restauracji, człowiek otyły i ponury, w tej chwili rachuje się z trzema zgonnikami, więc, znalazłszy jakiś kawałek miejsca na ławce obok bufetu, usiadłem, aby poczekać.

Przy długim stole o parę kroków ode mnie rozmawiało dwu ludzi: jeden zwawy brunet w wytartym surducie, drugi, w połatanym kubraku drelichowym, miał szpakowate włosy i fizjonomię zahukanego biedaka.

— Powiedziałem, że wyprawię ci wiesiele, i wyprawię!... — mówił brunet uderzając pięścią w stół.

— Olaboga!... laboga!... — jęczał szpakowaty. — Przecie już było wiesiele...

— Co to za wiesiele!... — oburzył się brunet. — Uczcili cię ludzie czy co?...

— Oj!... uczcili me, uczcili... — westchnął szpakowaty.

— Łgarstwo!... A ty uszanowałeś kogo?...

— Oj, uszanowałem... usza...

— Łgarstwo!... Nikomu i kieliszka wódki nie postawiłeś...

— Olaboga!... laboga!... — wzdychał szpakowaty.

W tej chwili żwawy brunet spostrzegł mnie i targnąwszy szpakowatego za rękaw, rzekł:

— Wstańże, ty chamie, kiedy widzisz porządną osobę... ukłoń się do nóg jelemożnemu panu, a może ci co ofiaruje...

Szpakowaty powstał i ukłonił się z miną zbója, zaś brunet zwrócił się wprost do mnie...

— On jelemożnego pana prosi o błogosławieństwo...

— Jakże ja go mam błogosławić, kiedy ze dwa razy starszy ode mnie? — zapytałem.

— To jest, on niby prosi względem tego, żeby jelemożny pan czymkolwiek wygodził mu, niby na wiesiele... — objaśnił brunet.

— Ależ ja go nie znam! — odparłem zirytowany.

— Ooo!... — zdziwił się brunet. — Przecie jego tu wszyscy znają... To nasz nocny stróż!...

Zdziwienie bruneta było tak szczere, że wydobyłem dwadzieścia groszy i ofiarowałem im na błogosławieństwo. Podziękowali dość obojętnie i — zwrócili się do innych gości w restauracji.

Rozmowa z brunetem miała tę dobrą stronę, że gospodarz spostrzegł mnie i zbliżywszy się rzekł:

— Niech pan pozwoli do alkierza... Porządny gość nie ma co robić między taką hołotą...

A wyciągnąwszy pięć w stronę tych, którzy prosili mnie o błogosławieństwo, dodał podniesionym głosem:

— Ja was, śmirusy, nauczę zaczepiać ludzi po restauracjach!...

Wyszedłem do drugiego pokoju, w którym znajdowała się politurowana szafa i komoda, kilka wyścielanych krzeseł, stół nakryty kolorową serwetą i kanapa obita materiałem w niebieskie kwiaty. Na ścianach, oprócz lustra w złożonych ramach, wisiało kilka obrazów, spomiędzy których uderzył mnie popstrzony przez

muchy portret Garibaldiego i niewyraźna bitwa, zdaje się, pod Magentą.

Jednocześnie otworzyły się drzwi od kuchni i ukazała się w nich wysoka, szczupła dama, lat około czterdziestu. Miała na sobie różową bluzkę, popielatą suknię z długim ogonem, a pod szyją — broszkę z wizerunkiem jakiegoś gmachu.

Na obliczu damy, nie odznaczającym się pięknnością, malowała się duma i zmęczenie, które wnet zatarł melancholijny uśmiech. Z godnością skinęła mi głową i zapytała, czego sobie życzę.

Dama, jak powiedziałem, nie była ani piękną, ani zbyt młodą, lecz na tle kuchennych śwędów i wrzawy restauracyjnej wydała mi się istotą niezwykłą. Musiała dostrzec życzliwość w moim spojrzeniu i ukłonie, ponieważ oblicze jej złagodniało.

— Pan pragnąłby przekąsić? — zapytała powtórnie, wykonywając głową ruch pełen dystynkcji.

— A co jest?

— Wszystko, co pan każe.

— Więc mógłbym prosić o befszytk?...

— Naturalnie — odpowiedziała, lekko wzruszając ramionami. — Chociaż zwrócę pańską uwagę, że my, w naszym partykularzu, nie mamy stołecznej poledwicy, do której pan przywykł...

— O, proszę pani... — wtrąciłem.

— Dlatego, jeżeli mam być szczerą, radziłabym pieczeń wieprzową...

— Zdaję się na gust pani...

— I będzie pan zadowolony...

Miałem wrażenie, że rozmawiam z księżną. Nagle uchyliły się drzwi od restauracji i błysnęła w nich rumiana, spocona twarz gospodarza.

— Elodio!... — krzyknął, aby zapanować nad restauracyjnym gwarem — dlaczego te psia ścierwa nie podają kiszki z kapustą?...

Zniknął za drzwiami, dama pobiegła do kuchni i, wydawszy rozporządzenia, powróciła z wyrazem smutku na twarzy. Porównywając wytworną kobietę z jej grubiańskim otoczeniem, byłem wstrząśnięty... Ona spostrzegła to i bez wstępów odezwała się tonem gorzkiej ironii:

— Odgaduję myśli pańskie... Jestem też pewna, że gdyby mój dziadek, Trójogon Rozpruwalski, mógł wstać z grobu, skonałby drugi raz, zobaczywszy mnie w podobnej sytuacji...

Byłem tak zmieszany, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć... Szczęściem, wzrok mój padł w tej chwili na komodę, gdzie spostrzegłem parę ciekawych przedmiotów.

— Co to jest? — zapytałem wskazując na jakiś niby model.

— O, przed panem nic się nie ukryje! — odparła dama z uśmiechem. — To jest młyn zrobiony przez mego syna, który ma dopiero czternaście lat...

— Aha!... tego, co pilnuje roweru — wtrąciłem. Dama lekko zarumieniła się.

— Ten młyn poruszał się — mówiła dalej — ale pewnego dnia nasz sąsiad, pan nadleśny, zanadto silnie nakręcił sprężynę, więc pękła i od tej pory młyn stoi... A to jest katarynka...

Zaczęła obracać korbą, a w drewnianym pudełku rozległy się piskliwe tony.

— Mój syn zrobił jeszcze Mękę Pańską w butelce, szkatułkę, która się sztucznie otwierała, i mnóstwo innych wynalazków...

— Ależ to genialny chłopiec!... zawołałem.

— Pracowałam nad nim — westchnęła dama. — Od dziecka czytywałam mu pana Mickiewicza, pana Dumasa, pana Kraszewskiego...

— Jakież zamiary ma pani co do tego chłopczyka? — spytałem.

— Ksiądz proboszcz radził oddać go do ślusarza... no, ale daruje pan, nie mogę pozwolić, ażeby prawnuk Trójogona Rozpruwalskiego był rzemieślnikiem!... Zaś pan nadleśny mówi, ażebyśmy posłali go do Szkoły Politechnicznej i zapewne tak się zrobi, jeżeli wygramy na loterii i pospłacamy długi.

— Trzy porcje kiełbasy! — wrzasnął gospodarz, znowu uchyliwszy drzwi.

Dama pobiegła do kuchni, a w chwilę później brudna służąca wniosła do pokoju pieczeń wieprzową z kartoflami. Zamówiłem dwie szklanki herbaty i siadłem do jedzenia, które wydało mi się bardzo smaczne.

Szybko załatwiłem się z pieczeniem, sama pani przyniosła mi herbatę... Ledwie jednak włożyłem cukier i zamieszałem, w sali rozległ się straszny hałas, a w otwartych drzwiach stanął gospodarz.

— Lubomirze! — zawołała pani — tam biją się...

— I, nie!... — odparł obojętnym tonem. — Wyrzucili za drzwi Bartka i jego opiekuna...

— Czy i dziś proszą gości o błogosławieństwo?...

— Rozumie się — rzekł gospodarz — i zwracając się do mnie, zapytał: — Czy pan kazał Felkowi pilnować welocypedu ? — Tak, prosiłem go o to...

— No, no... mruknął gospodarz i cofnął się do hałaśliwej sali, kręcąc głową.

Zaniepokoiło mnie pytanie gospodarza i jego mina, więc zwróciłem się do damy. Lecz zanim otworzyłem usta, już ona sama dała mi objaśnienie:

— Mąż mój — rzekła, spuszczać oczy — jest ojczymem Felisia i... jest trochę do niego uprzedzony... Chłopak przypomina mego pierwszego nieboszczyka, a Lubomir umie być zazdrosnym nawet o zmarłych... Wiecznie o coś podejrzewa dzieciaka!...

Ale wyjaśnienia dystygowanej damy, zamiast uspokoić, zatrwożyły mnie jeszcze bardziej. Odsunąłem rozpoczętą herbatę i przez kuchnię wybiegłem do sieni...

Tu, we drzwiach od dziedzińca, przede wszystkim spostrzegłem człowieka w drelichowym kubraku, który w restauracyjnej sali domagał się błogosławieństwa. W tej chwili jego kubrak był poszarpany, włosy powichrzone, a głowa rozcięta. Schylony, usiłował zatamować krew, a jego przyjaciel w wytartym surducie oblewał go wodą z kubła.

— Oj!... boli me, boli... — jęczał raniony.

— To nic, ale cię uczcili... — pocieszał go przyjaciel. — Gajowy dał ci obwarzanek... Kacper postawił ci piwa, jak się patrzy, a nawet i ten z Warsiawy, ten na cienkich nogach, ofiarował ci dwadzieścia groszy, że ha!...

Wszystko zakipiało we mnie! Jak to, za moją uprzejmość, za moje wsparcie ten hultaj mówi, że mam cienkie nogi?... Ależ w całym banku nie widziano piękniejszych łydek od moich, a nawet w klubie cyklistów niewielu dorównałoby mi pod tym względem...

Byłem wściekły, pięści same mi się zaciskały, więc ażeby uniknąć awantury, skierowałem się w stronę ulicy i — wpadłem na Felka oprowadzającego mój rower.

— Już pan jedzie? — zapytał chłopak, a w skośnych oczach błysnęło mu coś fałszywego.

— Jeszcze nie... Chcę tylko coś zobaczyć.

Otworzyłem torebkę wiszącą pod kierownikiem: szynka i bułki są!... Genialny chłopak nie grzeszy łakomstwem... Choć wcale nie gniewałbym się, gdyby zjadł tę łykowatą szynkę i zakalcowate bułki. Ale gdym zbliżył się do torebki, która wisi pod siodełkiem, chłopak drgnął...

Torebka zamykała się w sztuczny sposób, którego prawdopodobnie chłopak nie znał. Otworzyłem i spostrzegłem, że

nie ma w niej angielskiego klucza do odkręcania muter, który, kiedy wychodziłem z domu, był w torebce.

— Otwierałeś do torby?... — ostro krzyknąłem na łotra. — Wyciągnąłeś mi klucz?...

— Ani mi się śniło!... — odparł chłopak, czerwony jak wiśnia.

Nie wiem, co bym począł, gdybym był zupełnie spokojny. Ale słówko człowieka w wytartym surducie, że mam cienkie nogi tak mnie rozdrażniło, iż wywoławszy z restauracji otyłego gospodarza, opowiedziałem mu, co się stało.

W chwilę później żałowałem mojej popędliwości. Gospodarz bowiem, pasjonat jakich niewielu, rzucił się na chłopca, porwał go za włosy, a zdjawszy z siebie pasek, zaczął walić bez miłosierdzia... Chłopak z początku tylko wił się i syczał, potem zaczął wrzeszczeć nieludzkimi głosami, a nareszcie przyznał się, że wyjął klucz z torebki...

— Gdzie schowałeś?... — pytał chrapliwym głosem restaurator, fioletowy z gniewu.

— Do drewnutni — wyszeptał chłopak.

Ojczym wziął go za kark i powłókł w stronę dziedzińca, wciąż bijąc. W parę minut, które wydały mi się bardzo długimi, powrócili obaj i restaurator oddał mi klucz.

Już nie chciałem wracać do pokoju, tym bardziej że z kuchni dochodziły mnie spazmatyczne łkania dystygowanej matki chłopca. Obrachowałem się z gospodarzem w sieni, a podczas gdy liczył pieniądze, on mówił zdyszczanym głosem:

— Głowę, psie ścierwo, ma za dziesięciu... każdy zamek naprawi, nawet parasol i zegarek... Z pieniędzy także nic nie weźmie... dziesięć rubli można przy nim zostawić i nie tknie... Ale kiedy, psie ścierwo, zobaczy obciążki, dłutko, pilnik... nie wytrzyma i musi ukraść, choć wie, że łajdactwo zawsze się wyda i że nie ominie go basarunek!...

Z kuchni dochodziły coraz głośniejsze spazmatyczne krzyki damy. Postanowiłem darować zapłaconą herbatę i jechać dalej. Ukłoniłem się więc gospodarzowi, a chłopcu podałem złotówkę mówiąc:

— Za to, żeś pilnował roweru...

Ale zuchwały wyrostek przeszył mnie pałającymi oczyma i rzucił na ziemię złotówkę!...

Ponieważ w tej chwili wybiegła z kuchni zamorusana dziewczyna, więc jej ofiarowałem odrzuconą monetę, a sam pchając przed sobą rower zacząłem przedzierać się przez tłum jarmarkujący.

Już nie uważałem na to, co się dzieje, ale rozmyślałem, co mnie przed chwilą spotkało. Kobieta dystygowana, imieniem Elodia — restauratorką... chłopiec niewątpliwie genialny i ambitny — kradnie... Ale nie wszystko kradnie, tylko narzędzia ślusarskie... No i ten restaurator — zazdrosny o zmarłych, jak mówiła jego małżonka — także nietuzinkowy człowiek; posiada głębokie uczucia moralne, którymi, nie wiem, czy mogłaby pochwalić się wytworna dama... Dziwna płatanina wypadków i charakterów!...

Dama znowu, niezbyt młoda i niezbyt piękna, miała jednak w sobie coś interesującego... Podobać się mogła i doprawdy żałuję, że w tak grubiański sposób zerwały się nasze stosunki. Pograżony w myślach, znalazłem się wśród takiej ciżby, że — ani w prawo, ani w lewo... Przede mną — stragan czapnika, za mną nieprzebity tłum — z jednej strony zagroziła mi przejście kasztanowata krowa, z drugiej...

Przecieram oczy... Nie, to nie złudzenie... Widzę stary powóz z podniesioną do połowy budą, a na koźle pannę... Nie, to nie może być kobieta... to raczej wcielenie marzeń... wszystkich marzeń mojego życia!... Przecież ja znam te pukle ciemnych włosów!... przecież ja wpatrywałem się w te oczy, w te bezdenne otchłanie rozkoszy! A ten niebiański owal twarzy... a te kochane

usta... Ach, dopiero w tej chwili zrozumiałem, że prawdziwa miłość, wielka miłość jest tylko jedną z form wiekuistości!... Spojrzała... Jak ona spojrzała na mnie!... O, stójcie... Wszakże ona i ja jesteśmy więcej aniżeli rodzeństwem... jesteśmy połowami jakiejś mistycznej istoty...

Nieba!... Powóz rusza... odjeżdża... skręca... znika między domami... a ja nawet nie mogę wydobyć się z tłumu... Los mój zdecydowany... Pelagia, Henryka, nawet Karolina i dziesiątki, i setki innych to były przelotne błyski stęsknionego uczucia. Ale prawdziwą miłość, miłość wieczną, miłość piękną jak świat, a mocną jak śmierć poznałem dopiero dzisiaj... w tej chwili!... I o ironio, ani wiem, jak się nazywa ta moja... ta jedynie i wyłącznie moja, ani wiem, gdzie mieszka!

Rozumie się, że postanawiam gonić tę moją ukochaną, tę wyśnioną w marzeniach i przeczuwaną w tęsknotach... Na nieszczęście — pomiędzy mną a miejscem, z którego ruszył powóz, siedzi gęsty łańcuch bab z grochem, kaszą, masłem, jajami i żadna ani myśli o usunięciu się. Więc cofam rower w stronę restauracji, ale i tu znajduję ciżbę... Krótko mówiąc — upłynęło z pięć albo i ze sześć minut, zanim okrążywszy rynek zdołałem wydobyć się spomiędzy wozów, straganów, ludzi i zwierząt — na szosę.

A tymczasem powóz z moim ukochaniem uciekał, wciąż uciekał!...

Szosa, wysadzona w tym miejscu młodymi topolami i kasztanami, wygląda bardzo ładnie; ale muszę jechać powoli, gdyż co krok wymijam wozy, ludzi pędzących krowy albo świnię, wreszcie dźwigających ciężary na plecach. Powozu ani śladu, zapewne odsunął się ode mnie przynajmniej na półtorej wiorsty, ale... po co ja uganiam się za nim?... Czy, jeżeli go dopędzę, dowiem się, gdzie mieszka moja jedyna?... A choćbym nawet posiadał jej najdokładniejszy adres, czy zapoznam się z nią?... A choćbym zapoznał się z nią, czy mogę się starać o nią, zdobyć jej

serce, ożenić się?... Zresztą, gdy chodzi o głęboką, wiekuiącą miłość, o związek dwojga serc, które w przedbytowym istnieniu tworzyły jedną całość, czy te wszystkie zaznajamiania się, prezentacje, konkury, oświadczyzny i śluby nie są profanacją najwyższych uczuć!...

W tym miejscu szosa spada w wąwóz, pomiędzy dwie strome ściany; na szczycie jednej siedzi chłopak i dziewczynka.

— Dzieci — pytam — a nie przejechał tędy powóz?...

Milczą, więc zeskakuję z roweru i zbliżam się do nich.

— Dzieci kochane, a nie widzicie tam powozu?...

Ale kochane dzieci zrywają się i wrzeszczą:

— Lucyper!... lucyper!... — co w chłopskim języku ma oznaczać — welocyped.

Jadę dalej. Z prawej i lewej strony szosy grunt falisty. Tam — widać las, tu boczną drogę między wzgórzami, która prowadzi do jakiegoś odległego folwarku. W polu kilka drzew, wąwóz zarośnięty krzakami i całe łąny młodego zboża. Jak tu wesoło!... mój Boże, jak tu wesoło!... Środkiem szosy toczy się obładowana fura żydowska; na koźle drzemie furman ze zwieszonymi nogami i fajką w zębach.

— A nie spotkaliście w drodze powozu?...

Furman kiwnął głową i drzemie dalej, mnie zaś przychodzi na myśl, że chyba dostałem bzika. Po co ja zaczepiam ludzi i co mi przyjdzie z tego, że który z nich widział albo nie widział powozu?

Swoją drogą, czuję się tak wesołym i uspokojonym moralnie, że postanawiam jechać dalej. Nie będę się spieszył z jazdą, bo tego zakazał lekarz; ale — cały dzień przepędzę na świeżym powietrzu i odzyskam sen, jak już odzyskałem równowagę ducha.

Okolica jest coraz piękniejsza. Z daleka widać wsie, które mają taki wygląd, jakby chyłkiem przypatrywały mi się spomiędzy drzew. Bliżej pagórek, a na nim krzyż pomiędzy kilkoma brzożami. Wjeżdżam w niewielki las. W jednym

miejscu drzewa tworzą niby okrągły salon, w innym — podobny salon, a na środku jego cztery młode sosenki. Wyglądają, jak gdyby przed chwilą figlowały i uspokoiły się dopiero za przybyciem człowieka.

Młody lasek skończył się, znowu łąka ozdobiona bukietami drzew, mały strumyk płynący po czyściutkim piasku, a z daleka obszerne wzgórza i czyste chaty otoczone ogródkami. Boże, Boże, jak tu wesoło!... Ale jak mi się pić chce po pieczeni wieprzowej, którą jadłem w miasteczku... Herbaty nie znajdę w tym raj, ale gdyby tak mleka z pół kwarty...

Znowu lasek, a przy samej szosie nowa chata za chrustowym płotem. Świeży dach słomiany, okna duże, frontowa ściana bielona, inne barwy drzewa. Przed chatą stoi młoda i miła kobiecina w niebieskim kaftaniku, różowej spódnicy i białej chusteczce na głowie.

— Niech będzie pochwalony!....

— Na wieki wieków!... — odpowiada z życzliwym uśmiechem.

— Cóż tak stoicie przed domem?...

— A bo mój pojechał na targ z prosiętami...

— No, a dzieci?...

— U nas nie ma dzieci.

Rozkoszna kobieta!... Ma fiołkowe oczy i małe, choć spracowane ręce.

— A mleka u was nie dostanie?...

— Czemu by nie dostał?... — odpowiada.

— Więc dajcie mi z pół kwarty... Tylko czysto... czyściutko!...

— U nas nie ma brudnych naczyń...

Pyszna kobieta!... Jakie ruchy... jaki blask oczu...

Poszła do piwniczki, a ja, ustawivszy rower pod płotem, obchodzę zagrodę, która podoba mi się coraz bardziej.

O już moja gosposia wyszła z loszku... W jednej ręce siwy garnczek z mlekiem, w drugiej kubek fajansowy... O już idzie do chaty... Nie... stawia kubek na wysokim progu, a garnczek z mlekiem na ziemię (co za pełne wdzięku ruchy!...) Przyklęka... Garncezek z mlekiem znowu bierze do ręki... No... no... no!... Wyciąga swoją własną koszulę, nakrywa nią kubek i... cedzi mleko...

— Co wy robicie, u stu diabłów?...

— O!... to pan tutaj?... Przecie kazał pan podać czysto...

Drżącymi z gniewu rękoma wydobywam dwie miedziane dziesiątki i rzucam na dziedziniec. Potem biegnę do roweru, siadam i pędzę, ażeby jak najdalej odsunąć się od tego mleka, kubka, mlecarki, nawet od chaty... A cóż to za niechluj!... Chcąc zapomnieć o obrzydliwej babie, zwracam się myślą do miasteczka, do restauracji, nawet do chłopaka, który przywłaszczył sobie mój klucz angielski. Jużci, to bardzo zdolny chłopak. Wybudował zgrabny młyn, katarynkę, wprowadzie piskliwą, ale ja i takiej nie potrafiłbym wybudować... Szkoda chłopca, że się marnuje... Gdy Pan Bóg pozwoli, że będę miał swój bank i zarobię kilka milionów rubli, każę go kształcić... Oddam go do szkoły rzemieślniczej, potem wyślę do wyższego zakładu, na przykład do Niemiec, potem niech popracuje w Anglii... Jestem pewien, że wyrośnie znakomity technik, a może i wynalazca... Gdy zaś cały naród polski, wdzięczny za moją pracę, złoży mi publiczny hołd tam, w Szwajcarskiej Dolinie, wówczas mój genialny wychowaniec ofiaruje mi od siebie pomysł nowego motoru: do statków, wozów, fabryk, i motor ten na moją cześć nazwie: „System Fitulio” ...

Łzy zakręciły mi się w oczach na myśl o takiej wdzięczności i o takiej sławie... Ale — pić chciało mi się coraz gwałtowniej. Wjeżdżam znowu do lasu starego i gęstego; szosa biegnie nasypem, który z początku jest wysoki na piętro, później na dwa piętra. Czuję wilgoć i chłód, więc w pobliżu musi być woda.

Rzeczywiście jest; po obu stronach szosy ciągną się rozległe jeziora pełne wysp, kęp, zarośnięte trawą i drzewami. Nad głową przelatuje mi jakieś wielkie ptaszysko... Słyszę krzyk... łopot skrzydeł... Ponura miejscowość... Licho wie, po co odsunąłem się tak od Warszawy, pomimo że doktor zalecał mi nie męczyć się... Byłaby rzeczywiście komedia, gdyby w tej dzikiej pustce rzucił się i na mnie jaki dwunożny, ale bezskrzydły drapieżca!... Za pozwoleniem... A od czego mam rewolwer?... Niech mnie kto spróbuje zaczepić...

I w tej chwili chcę, pragnę, pałam żądzą, ażeby mnie kto napadł... Tego mi tylko brakuje do uwięczenia spaceru!... Dopiero miałbym co opowiadać w banku i w mieście! I dopiero niewdzięczna Karolina zrozumiałaby, jaka istnieje przepaść między bohaterem, pobierającym nawet skromne dwa tysiące rubli na rok, a filistrem, choćby ten sypiał na akcjach i nurzał się w złocie.

Las rzędzie, szosa zniża się... Jestem znowu na otwartym polu, wesoły, gotów lecieć jeszcze ze dwadzieścia wiorst. Ale pić mi się chce!... Wargi mam spieczone, w ustach sucho... Zwycięstwo!... niech żyje wytrwałość!...

O pół wiorsty, na prawo od szosy, widzę dom i parę gospodarskich budynków, między którymi doskonale odróżniam studnię z żurawiem.

Zjeżdżam z szosy. Dom jest stary, kryty gontami. Poza nim — jakaś rudera bez dachu i wałająca się obórka. Muszą tu mieszkać bardzo biedni ludzie. A i studnia, porośnięta mchem, wygląda wprawdzie malowniczo, ale nieapetycznie...

Na progu domu siedzi biało odziana kobieta. Leniwymi ruchami wydobywa kartofle z kosza, obiera je niedbale i rzuca do miski z wodą, tak że niektóre upadają na ziemię.

— Moja matko, nie można by się tu wody napić?... Tylko czystej...

Kobieta patrzy na mnie czy nie na mnie błędnymi oczyma. Potem zdejmuję z głowy moką chustkę, macza ją w misce z kartoflami i znowu kładzie na głowę.

— Chorzy jesteście? — pytam.

— Głowa... głowa boli... — opowiada i w dalszym ciągu usiłuje skrobać kartofle.

Jestem oburzony. Cóż za ludzie są w tym domu, że pozwalają pracować tak ciężko chorej kobiecie!...

Zaglądam w okno. Na ławie, pod piecem leży jakaś postać z obnażonymi nogami i głową tak ukrytą w rękach, że prawie jej nie widać. Na łóżku pod ścianą jęczy kobieta z twarzą rozpaloną od gorączki, a na podłodze, na sienniku, z głową odrzuconą w tył, z twarzą żółtą jak wosk i nieprzyjemnie otwartymi ustami rozciąga się mężczyzna. Co chwilę wychudłymi rękoma szarpie na sobie koszulę, spod której widać zakłęśnięty brzuch i ostro zarysowane żebra...

I jeszcze nie koniec: w drugiej izbie na tapczanie, pod stosem gałąńców, dojrzałem dwoje dzieci...

— Ależ oni wszyscy chorują na tyfus! — zawołałem.

I jak poprzednio straciłem ochotę do mleka, tak obecnie czym prędzej siadłem na rower i zapomniałem o pragnieniu.

Cóż robić?... Rzecz prosta, jechać dalej i w pierwszej wiosce, jaką napotkam, zawiadomię o tym, co widziałem. Tyfus!... jakie szczęście, że nie piłem wody z tej studni, która musi być do gruntu zakażona i zapewne niejednego przyprawiła o chorobę. Ciężko jechać! droga pnie się pod tak wysokie i spadziste wzgórze, iż zsiadam z roweru i wlokę się piechotą. Chwała Bogu, że trafiłem na wyniosłość, z której szczytu będę mógł rozejrzeć się w okolicy.

Krajobraz jest bardzo rozległy. Z jednej strony wzgórze widać chatę, w której częstowano mnie mlekiem cedzonym... Bliżej — las z połyskującą wodą, a najbliżej dom, którego

mieszkańcy ulegli epidemii... Z drugiej strony rozciąga się wieś w polu, a tuż przy szosie — leży bardzo ładny folwark...

O ile mogę dojrzeć, budynki są murowane, a między nimi odznacza się pałacyk wśród obszernego parku.

Siadam i rozpędzam się... No, jestem pewien, że za tę jazdę dano by mi medal!... Dawno już tak nie jechałem... Ziemia szybko ucieka spod nóg; bez zawrotu głowy patrzeć na nią nie mogę; drzewa i słupy telegraficzne tylko migają, wiatr świszczę w uszy... I ja mam być chory?... ja mam być zdenerwowany?... W całej Warszawie nie ma zdrowszego ode mnie człowieka!... Otóż i zbliżam się do folwarku. Wymijam domek kryty słomą, obszerny, kędy bawi się gromadka dzieci, potem jakieś budowle, a nareszcie, tuż przy parku, trafiam na kuźnię, przed którą stoi kowal.

— Panie kowalu wołam ratujcie chrześcijańską duszę i dajcie co pić, byle nie wodę...

— Może mleka? — pyta majsterek dotykając ręką kapelusza.

Tak pięknego chłopca, z taką dobrą i rozumną twarzą, dawno już nie widziałem.

— Dziękuję za mleko — odpowiadam. — Ale za szklanek herbaty z przyjemnością dałbym złotówkę...

— Czy to my szynkarze, ażeby za gościnność brać pieniądze? — uśmiechnął się kowal i zaprowadził mnie do swego domu, gdzie przed sienią dwoje bliźniąt patrzy na mnie z uroczystą powagą.

Wyszła i kowalowa, jasna blondynka z twarzą dziecka, i obiecała przyrzadzić herbatę.

— Czyj to majątek? — zapytałem kowala.

— Pana Drzymały Zaspalskiego.

— Piękna fortuna!...

— I pan dobry — odparł kowal. — U niego ani człowiek, ani bydlę nie mieszka inaczej, tylko w ceglanym budynku... Pensje

płaci, ordynarię wydaje jak złoto, o ludzi dba... Tu parobcy służą po piętnaście lat i więcej...

— A to doskonale trafiłem — mówię. — Znacie tamten dom za górką?

— Aha, to Jakubówka...

— Otóż trzeba natychmiast zawiadomić pana, że w Jakubówce wszyscy chorują na tyfus... Straszne rzeczy będą się tam działy, jeżeli pomoc zaraz nie przyjdzie...

Kowal potrząsnął głową.

— Tego panu mówić nie można, bo on jest chory, a jak się czym zmartwi, to mu zaraz gorzej...

— Więc powiedzcie rządcy czy ekonomowi...

— Tego robić nie można — odparł kowal. — Pan wszystko sam dysponuje, a jakby się dowiedział, że rozporządzają się bez niego, to zaraz wpadłby w gniew i zachorowałby jeszcze gorzej...

— Więc dlatego, ażeby wasz pan nie zmartwił się czy nie rozgniewał, kilkoro ludzi ma ginąć?... Co też wy mówicie, kowalu? — zawołałem oburzony.

— Mówię, co wiem — odparł spokojnie. — Chłopu nie poradzi nie tylko tyfus, ale nawet zgniła gorączka... Ma żyć, będzie żył, ma ginąć, zginie... Ale panu zaszkodzi nawet ten wiatr, co szelepie między liśćmi...

Wzruszyłem ramionami i zacząłem oglądać się dokoła. Park jest rzeczywiście ładny: rozległy, ma dużo starych drzew, piękne krzewy, szerokie drogi. Między drzewami błyszczą woda stawu, widać białe ławki i różnobarwne kwietniki.

— O ho!... ho!... już idą — odezwał się głos poza mną. Z kuźni wybiegł czeladnik i chłopiec, z izby kowalowa, kowal zbliżył się do mnie i — cała gromadka, przysłoniwszy oczy dłońmi, wpatrywała się w ogród, w stronę bielejącego pałacu. Tam, na szerokiej ścieżce, obok pagórka, ukazały się naprzód dwie damy, młodsza i starsza, a o kilka kroków za nimi — pan z wielką, siwą brodą prowadzony za jedną rękę przez mężczyznę

szpakowatego, za drugą przez młodzieńca. Pochód zamykał czarny pies ze spuszczoną głową i ogonem i chłopak w granatowej liberii, z koszykiem i okrągłą poduszką w rękach.

— Już minęła druga, kiedy państwo idą pod lipę — rzekł kowal.

— Jak to druga? — zapytałem.

— A bo do drugiej godziny nasi państwo siedzą pod dębem, co ma ze sto lat... później do piątej są pod lipą, co ją jeszcze dziadek naszego pana sadił, a po piątej idą między modrzewie...

— A cóż oni tam robią?...

— Wiadomo, że grają w karty — odparł kowal. — Pan starszy, niby nasz pan, to już ciągle siedzi na jednym miejscu. Pan młodszy, niby jego syn, to się przesiada. A pani młodsza, panienka i panicz, ci zmieniają się przy stole: dwoje gra, a trzecie albo spaceruje, albo zagląda innym w karty i radzi.

— I tak co dzień?...

— Nie co dzień. Parą razy na tydzień zjeżdżają goście. Wtedy pani i panienka krząta się około jedzenia, a przyjezdni grają z naszymi panami. Nieraz bywa ze trzy i ze cztery stoły!...

— westchnął kowal. — Toteż wszyscy chwalą naszego pana za gościnność.

— Musi być bogaty? — wtrąciłem.

Kowal podniósł rękę.

— I jeszcze jaki!... — zawołał. — Kamerdyner mówi, że jeden słomiany kapelusz naszego pana tyle jest warty co tęga krowa... Ale bo to i słoma: czysto amerykańska, z samych Chin...

Tymczasem gosposia wyniosła przed dom stół, nakryła go obrusem w czerwone kwiaty, postawiła sitny chleb, masło, twarożek ze szczypiorkiem i cały garnczek herbaty. Wypiłem półtrzeciej szklanki, zjadłem parę kawałków chleba i zostawiwszy dzieciom dwa złote na pierniczki znowu wybrałem się w drogę.

Znajdowałem się w odległości dwudziestu pięciu wiorst od Warszawy i już myślałbym o powrocie, gdyby kowal nie nasunął mi bardzo dowcipnej kombinacji.

Równolegle do szosy idzie kolej żelazna, w odległości mniej więcej dziesięciu wiorst. Ale stąd o półtorej mili, przy szosie, w stronie przeciwnej od Warszawy, leży osada, z której jest tylko pięć wiorst do stacji kolejowej. Ta droga do kolei jest najkrótsza i najlepsza; inne zaś są tak piaszczyste, że w niejednym miejscu trzeba rower prowadzić.

Dziękuję majstrowi za objaśnienie, a majstrowej za przyjęcie i jadę dalej, w stronę owej osady i stacji kolei. To dopiero zdziwi się kochany doktor, kiedy mu powiem, że dziś przejechałem ze czterdzieści wiorst! bo od Warszawy do owej tam stacji będzie tyle... Już mam za sobą półczwartej mili, a jednak nie czuję najmniejszego znużenia; owszem, jakby rosła siła fizyczne i energia moralna.

Okolica wciąż jest piękna. Urodzaje bogate, drogi wysadzone drzewami, każda wieś, każdy dom wygląda z bukietu zieloności, na polach pełno ludzi, którzy sieją, orzą, kopią, niekiedy śpiewają. Nawet słyszałem głos fujarki i kukułkę w niedalekim gaju. Pomyślałem sobie: czy też będę miał własny bank i — ile milionów zarobię?... a mądry ptak, gdy zaczął kukać, tak długo kukał, aż straciłem liczbę...

Mój Boże, gdybym ożenił się z wnuczką poczciwego Drzymały Zaspalskiego?... Naturalnie, że od razu miałbym duży kapitał zakładowy, większy kredyt i szybko mógłbym się wyrobić. Oni, jak i dzisiaj, grywaliby sobie w karty, pod lipą czy pod dębem, a ja obracałbym ich funduszami i płaciłbym sześć procent...

Później kupiłbym ten majątek, trzymałbym stałego felczera, a gdziekolwiek przy szosie czy bocznej drodze zachorowałyby kto na tyfus, dawałbym pomoc. Byłoby to coś na wzór straży ogniowej: wybuchła epidemia — straż pędzi i ratuje...

— O bezwstydniku!... — zawołałem do siebie — więc ożeniłbyś się z kobietą, której nawet rysów nie widziałeś?... A cóż będzie z tą niebianką, z tą rozkoszną dziewczeczką, którą ujrzałeś podczas jarmarku, siedzącą na koźle?... Przecież i dwie godziny nie minęło, kiedy w duszy przysiągłeś jej wiekuistą miłość... Naturalnie, że będę stałym i nie zdradzę tej jedynej, tej wyśnionej, z którą w przedbytowym istnieniu tworzyliśmy jedną całość. Ożenię się z nią, a wówczas pokaże się, że ona ma bardzo bogatego dziadka, milionowego dziadka, który po weselu wezwie ją do siebie i rzeknie: „Ponieważ wyszłaś za mąż za takiego człowieka jak Fitulski, więc mianuję cię jedyną dziedziczką mego olbrzymiego majątku...” Rozumie się, że po niejakiem wahaniu będę musiał zaakceptować szlachetną ofiarę, no a wówczas moje finansowe plany od razu przyjmą kolosalne rozmiary i jubileusz banku będzie mógł odbyć się nie za piętnaście, ale za dziesięć lat... Gdy zaś tam, w Dolinie Szwajcarskiej, powitany przez deputację całego narodu, zasiądę na złoconym fotelu, pod szkarłatnym baldachimem, i gdy prezes deputacji wręczy mi medal brązowy wielkości płytkiego talerza... (Dlaczego medal miałby koniecznie być brązowym, a nie srebrnym albo złotym?...) Gdy więc prezes doręczy mi złoty medal wielkości małego półmiska, wówczas, przy dźwiękach poloneza z „Halki”, zacznie się pochód malowniczych grup, które będą przedstawiały moją działalność jako obywatela kraju.

Więc naprzód pójdzie banda uliczników obojga płci, dla których pragnąłem założyć ochronę; za nimi gromada chłopów, jarzyniarzy, których uratowałem od codziennych rabunków na przedmieściach... Dalej pójda kobiety, które z nędzy kradły kartofle, a którym ja ich grzechy przebaczyłem; potem wystąpią nadobne amazonki, którym ratowałem życie, w chwili gdy były ponoszone przez oszalałe rumaki... Następnie będzie maszerowało założone przeze mnie towarzystwo opieki nad jastrzębiami, które chłopcy przygważdżają do drzew... Dalej towarzystwo opieki nad

chłopami, zmuszonymi wychodzić na roboty za granicę... Potem przeciągnie bardzo wzruszająca grupa tyfoidalnych, których ocaliłem od śmierci, a nareszcie grupa genialnych chłopców wiejskich, którym dałem możliwość kształcenia się i wykierowałem na znakomitych wynalazców.

Po ukazaniu się każdej takiej grupy zachwycona publiczność będzie biła potężne brawo krzycząc: „Niech żyje!... Niech żyje Fitulski, prawdziwy przedstawiciel narodu!...” Ja zaś wstanę ze złoconego fotela, wystąpię na brzeg estrady i położywszy rękę na sercu odpowiem wzruszonym głosem: „Damy i panowie! Przeceniacie wartość moich obywatelskich czynów... (W tym miejscu podniosę rękę do oczu...) Jedyłą moją zasługą jest ta, że umiałem czuć za miliony...”

Marzenia tak opanowały mnie (wbrew radom doktora), że widziałem przed sobą niby na jawie Dolinę Szwajcarską, tłumy dam wyglądających jak różnobarwne kwiaty, legiony mężczyzn we frakach i białych krawatach, lud wiejski w sukmanach, lud podmiejski w garniturach z Pocijowa....

Wtem — zbudził mnie turkot. Gdzie jestem?... Aha!... na szosie... Z prawej i lewej strony widzę rozległe pola zasiane żytem i pszenicą... widzę z daleka jakąś chatę otoczoną drzewami, a naprzeciw mnie o kilkadziesiąt kroków elegancki powóz zaprzęgnięty w pyszne kare konie. Na koźle furman i lokaj w liberii, zaś w głębi powozu — dama w popielatym jedwabnym płaszczyku i czarnym kapeluszu, który przepasuje biały welon. Jakaż ona piękna!... I gdzie ja widziałem tę twarz?... te oczy?... Skąd to uczucie braterstwa pomiędzy mną a nie znaną mi kobietą?... Jestem ofiarą przywidzeń czyli też świadkiem wzniosłej prawdy, że kiedyś, w przedbytowym istnieniu, tworzyliśmy jedną całość?...

Już powóz przejechał... O nie!... ja muszę jeszcze raz spojrzeć na nią... muszę ją choćby wzrokiem zapytać: tyżeś to czy

nie ty?... Jestżeś tą, którą przeczuwałem w marzeniach, widywałem w czasie bezsennych nocy?....

Muszę dogonić powóz, muszę ją zobaczyć... Zawracam... Trrrach!... Wjechałem na szkło rozbitej flaszki i przerznąłem obręcz roweru.

Bodajże cię milion sto tysięcy...

Cykliści nieraz spadają ze swych maszyn, czasami nawet w sposób niebezpieczny. Ale takiego kozła, jakiego ja wywróciłem w tej chwili, chyba jeszcze nie widziano na ziemi!...

No i ja go nie widziałem. Usłyszałem tylko syk pneumatycznej obręczy, uczułem, że rower zatrzymał się. Coś podrzuciło mnie na siodełku, coś oderwało nogi od pedałów, coś machnęło mną i cisnęło na szosę, aż głowa znalazła się na cal od przydrożnego kamienia... Jeden, jedyny cal!.... i wszystkie moje pomysły, mój bank, moje zasługi dla społeczeństwa, wszystko zakończyłoby się na publicznej drodze, w odległości trzydziestu wiorst od Warszawy. Siadam na ziemi... Ach!... jakże mnie boli prawa noga.. Złamana?... Aj!... Na szczęście nie złamana, tylko rozbita... Aj!... Co za diabelski koncept przyszedł do głowy doktorowi, ażeby wysyłać mnie rowerem za miasto?... Mnie, człowieka chorego, zdenerwowanego, który od tygodnia nie sypiał. Słowo dają, że doktorzy to rzeźnicy!... Jego nie obchodzi chory, tylko to, ażeby wziąć pieniądze...

Aj!... moja noga... moja noga!... Trzydzieści wiorst od Warszawy, a dziesięć od najbliższej stacji kolejowej No, i co ja teraz będę robił?... w jaki sposób dostanę się do miasta.... Łaska boska, że nie skaleczyłem nogi, tylko stukłem... Tak, ale mogłem odbić ciało od kości...

Na szosie nie widać ani jednej furmanki... Szczęściem, na prawo od szosy, w odległości pół wiorsty, dostrzegam porządną chatę i budynki gospodarskie... Obok stoi krzyż, widocznie mieszkają tam ludzie pobożni, a więc i litościwi...

Z trudnością dowlokłem się do rowu i przyciągnąłem nieszczęsną maszynę. O, tam się urządził!... W przedniej obręczy dziura tak wielka, że szczer mógłby się w niej schować, lewy pedał zgięty, a kierownik skrzywiony Przypuściwszy, że z kierownikiem, a nawet z pedałem poradziłbym sobie, to już takiej dziury w pneumatyce zalepić nie potrafię. Wszystko to zaś trafiło mi się o trzydzieści wiorst od Warszawy!... Winszuję kochanemu doktorowi pomysłu... Oczywiście zależało mu na tym, ażeby kark skrzywił!... Może jest przyjacielem małżonka Karoliny?

Uczucie samotności i oddalenia od miasta, domu, banku, przyjaciół, wreszcie od jakiegokolwiek nadziei ratunku tak mnie przeraziło, że mimo przykrego bólu w nodze zerwałem się, podźwignąłem rower i powoli, wśród nieopisanych wysiłków, począłem wlec się do owej chaty. Oczywiście łaska Boża, że nieszczęście spotkało mnie niedaleko od mieszkania ludzkiego, gdzie wynajmę konie, obmyję rozbitą nogę, odpocznę, a może i co zjem. Poczciwy wieśniak zapewne ma dzieci, więc gdy nie zechce wziąć pieniędzy za mleko (byle nie cedzone!), oddam malcom szynkę i bułki...

A może w dniu, kiedy naród polski uczci moje zasługi, może spośród licznych deputacji wysunie się jaki prosty człowiek, który ocierając łzę spracowaną dłonią, rzeknie wzruszonym głosem: „Panie, ja jestem owym małym chłopakiem, któremu piętnaście... nie... dziesięć lat temu oddałeś swoje bułki i szynkę...”

A przewodniczący deputacjom pochyliwszy się ku mnie wyszepta: „Panie Fitulski, człowiek tak szlachetny jak pan nie mógł inaczej postąpić...”

Takie obrazy podsuwała mi fantazja, ale i ona musiała umilknąć wobec smutnej rzeczywistości. Nie wiem, czy który z uczonych lub poetów zwrócił uwagę, że rower jest nie tylko istotą żyjącą, ale — bardzo wrażliwą, bardzo subtelną. Łączy on w sobie przymioty arabskiego konia i ptaka. Jest tak lekki, że prawie unosi się w powietrzu, w czasie wyścigów okazuje szaloną

ambicję, na równej drodze toczy się jak kula, na nierównej drży, na niepewnej chwieje się, pod górę wdrapuje się z trudnością jak szlachetny rumak, którego zaprzęgnięto do wozu. Ale za to z góry leci na skrzydłach...

A teraz proszę sobie wyobrazić, że ta istota nerwowa i delikatna otrzymała ciężką ranę... Co się z niej stanie?... Oczywiście trup... Toteż kiedy wlokłem mój rower ze zgiętym pedałem, skrzywionym kierownikiem i rozdartą obręczą, zdawało mi się, że z pola bitwy uprowadzam ranionego przyjaciela, który ma przestrzelone płuca, nie może iść na zataczających się nogach i co krok mdleje...

Nareszcie doszedłem szosą do drogi bocznej, pełnej piasku, kijów i wybojów, która miała mnie doprowadzić do zbawczej chaty. To była droga!... Mój nieszczęsny rower już wcale nie chciał iść, bezwładnie uwiesił mi się na rękach i wciąż upadał. Co wycierpiałem w czasie tej piekielnej podróży, nawet Dante nie potrafi opisać, ale najwięcej trąla mnie myśl, że nie ma przy mnie doktora, któremu mógłbym powiedzieć: „Spojrzyj pan na mnie, na mój rower i wiedz, że to jest twoje dzieło!...”

Nareszcie zbliżam się do chaty. Ściany świeżo bielone, drzwi i ramy okien szafirowe, porządny płot... Stodółka... stajenka... obórka... A ten krzyż mchem porośnięty... Przed wrota wychodzi jakiś człowiek w kurtce i czapce z daszkiem; pewnie właściciel... Twarz surowa, ale rozumna i energiczna... Co prawda, w chwili nieszczęścia wolę mieć do czynienia z surowym, lecz energicznym, aniżeli z uśmiechniętym mazgajem.

— Niech będzie pochwalony, gospodarzu! — odezwałem się głosem, który wypowiadał wszystkie moje cierpienia i nadzieje.

Chłop coś odmruknął, ale nie wiem co.

— Potłukłem się — ciągnąłem dalej — zepsuł mi się wózek i przychodzę prosić was o pomoc...

— Ja ta nie umiem wózka naprawiać — odparł gospodarz.

— Ale mi wynajmiecie konie do stacji kolejowej. Podobno stąd jest dziesięć wiorst?...

— I koni nie wynajmę.

— Jak to?... — zapytałem zdumiony. — A gdzież ja pójdę?...

— A idź se pan, gdzie chcesz...

— Jak to?... Więc zostawilibyście na środku drogi, bez ratunku, podróżnego... rodaka... brata?

— Jaki ja panu brat, taki będzie ratunek — odpowiedział chłop twardym głosem.

Zawrócił się i wszedł do chałupy.

Rany boskie!... — pomyślałem — a tom trafił!... Ależ to zbój... na czole ma napisane, że zbój...

Mimo woli sięgnąłem do rewolweru. No, gdyby mnie teraz zaczepił, wybije ostatnia godzina dla niego albo dla mnie... A to bydlę!...

Z chałupy wyjrzała kobieta i zdawało się, że patrzy na mnie raczej życzliwie aniżeli niechętnie. Kto wie, czy gdybym do niej zwrócił się, nie otrzymałbym koni i nawet czegoś do zjedzenia?... Ale nie!... Raczej usiądę przy szosie i będę czekał, choćby do wieczora, na jaki przejeżdżający wóz, aniżeli skorzystam z usług tego bandyty. Niech gałgan zobaczy, jak wynajmę konie od przejezdnego furmana... Niech podlec widzi, jak będę pokazywał palcem jego chatę, którą głośno nazwę jaskinią morderców!...

Odwrociłem się od kobiety i, naumyślnie mocniej kulejąc, ażeby uczuła wyrzuty sumienia, poszedłem w stronę szosy. Wlokłem się z pięć minut, dla dokuczenia babie, a gdym spostrzegł tuż obok gościńca wysoki kopiec graniczny, położyłem rower, a sam wlażłem na wyniosłość. Był to punkt doskonały, z którego ogarniałem wzrokiem nie tylko zagrodę niegodziwca chłopca, ale jeszcze kilka wiorst szosy i bocznej drogi.

VIII

Strapiony ciężkim położeniem, stęskniony za domem, zwróciłem oczy w stronę Warszawy i wpatrywałem się, wpatrywałem... Po chwili, na białej wstędze szosy zauważyłem jakiś punkt ruchomy, który szybko zbliżał się w moim kierunku. Co to być może?... W każdym razie nie wóz i nie powóz... A może to który z kolegów cyklistów? Także nie. Więc wpatrzyłem się jeszcze lepiej i poznałem, że jest to samochód najnowszej budowy, a raczej nie samochód, ale — zupełnie nowa, dotychczas nie znana machina do jazdy na gościńcach.

Wynalazł ją ów chłopak mechanik, którego kształciłem na mój koszt w kraju i za granicą, zapomniawszy, że chciał mi ukraść klucz angielski do muter. Wychowaniec mój był nie tylko genialny, lecz i wdzięczny, machinę bowiem wynalezioną przez siebie nazwał, jak to już wspomniałem, na moją cześć — „Systemem Fitulio”.

No i patrzcie, a ja myślałem, że to było marzenie!... Tymczasem jest to realna machina, która cichutko zbliża się, a gdy siadłem do niej — równie cicho i bez wstrząśnień wiezie mnie do Warszawy.

Założyłem ręce pod głowę, wyciągnąłem się, przymknąłem oczy i jadę, wciąż jadę, a raczej płynę. Jakiż to cudowny system komunikacji i jak powinna być mi wdzięczną ludzkość, że wykształciłem dla niej podobnego wynalazcę! To jeszcze nic, że jadę, ale jadę tak szybko, że w niecałe pół godziny jestem w Warszawie. I przez ten czas, kiedy zastanawiam się, ile ja wiorst przejechałem... czuję, że cudowna machina nie tylko przywiozła mnie do domu, ale nawet zaniósła na drugie piętro i położyła na mojej szerokiej, wygodnej sofie...

—Rózia... Rózia!... — mimo woli zawołałem, ale gałgan dziewczyna i tym razem nie przyszła.

Bardzo dobrze, niech nie przychodzi. Wolę rozmyślać o nowo wynalezionej maszynie, o chłopcu, którego na mój koszt wykształciłem i o niespożytych usługach, jakie złożyłem ludzkości, a przynajmniej własnemu społeczeństwu.

Wtem patrzę... wychodzi z drugiego pokoju jakaś elegancka dama w średnim wieku: blada, smutna, czarno ubrana... Spogląda na mnie zażawionymi oczyma i szepcze:

„Szlachetny filantropie!... Chciałeś zakładać ochronę dla podmiejskich uliczników, przebaczałeś kobietom kradnącym kartofle, zbierałeś po miasteczkach genialnych chłopców, ażeby ich wykształcić na wynalazców, opiekowałeś się podróżującymi chłopami, pragnąłeś leczyć tyfoidalnych, ubolewałeś nad niechlujstwem ludu wiejskiego, miałeś łzy nawet dla dręczonych jastrzębi... Ale gdy ciebie samego spotkała na szosie katastrofa, kiedy sam zwróciłeś się z prośbą do półdzikiego chłopca — nie tylko odmówiono ci pomocy, ale nawet drwiono z twego nieszczęścia i z twoich odezwań się pełnych słodyczy... Oto masz dowód, że człowiek inteligentny nie powinien wdawać się z chamami, którzy nigdy nie potrafią ocenić jego serca, a zawsze opuszczają w dniu potrzeby!...”

„Więc cóż mam robić?” — zapytałem pobladłymi ustami.

„Przede wszystkim unikaj tego, co rozmaici aferzyści nazywają — czynami... Czyny — dobre są dla pospółstwa, ale nie dla wyższych dusz, do jakich ty należysz. Natomiast naucz się pisać wiersze i wypowiadaj w nich to, co czujesz za miliony... Pięknie mówić i pięknie pisać — oto jedyna rola godna ciebie...”

Wtem nad moją głową rozległ się krzyk, na który od stóp do głów zadrżałem:

— Panie Rzempolski!... panie Rzempolski!... Co to znaczy?...

Ostrożnie zacząłem uchylać powieki.

Gdzie ja jestem?... Więc nie w moim pokoju?... nie na szerokiej sofie?... Nieba!... Ależ ja jestem w otwartym polu i leżę

na kopcu granicznym!... Obok mnie zepsuty rower, a nade mną bryczka, z której wychyla się jakiś jegomość w płóciennym kitlu i wrzeszczy:

— Panie Rzempolski!... panie Rzempolski!...

Usiadłem, jakby mnie podrzuciła sprężyna i w okamgnieniu odzyskałem przytomność. Ja wcale nie jeździłem nowo wynalezioną machiną do Warszawy, wcale nie byłem w moim mieszkaniu, nie leżałem na mojej wygodnej sofie, nie rozmawiałem z dystyngowaną damą w średnim wieku... Ja po prostu zasnąłem tu, obok szosy, na kopcu i spałem... spałem pierwszy raz od tygodnia!...

O kochany doktorze!... o genialny doktorze, którego przepis wrócił mi zdrowie... No, chociaż miałbym nierównie więcej do zawdzięczenia doktorowi, gdyby mi się nie zepsuł rower... Wszystkie te myśli, długo ciągnące się w opowiadaniu, przeleciały mi przez głowę w ciągu sekundy... Miałem umysł tak świeży i wypoczęty, że nie tylko logiczne kombinacje zapalały się we mnie z szybkością błyskawic, ale prócz tego zrobiłem kilka ważnych spostrzeżeń z równie zadziwiającym pośpiechem. Przede wszystkim — na koźle bryczki siedział woźnica z fioletowym nosem i pijacką fizjonomią. Cham ten przypatrywał mi się z uśmiechem impertynenckiej życzliwości, jakby chciał powiedzieć: „My się znamy nie od dzisiaj!...”

Znamy się?... Skąd? gdzie? kiedy?... Także znajomość — z pijaczną, który ledwo trzyma się na koźle....

Po wtóre — jegomość w płóciennym kitlu i ryżowym kapeluszu był to człowiek nieduży, siwiejący blondyn, miał bardzo uczciwy, bardzo sympatyczny wyraz twarzy, na której jednak przebłyskiwał szczególny odcień: obawy czy nieufności?... Mnie się obawia?... mnie nie ufa?... I te spostrzeżenia trwały nie dłużej aniżeli sekundę. Tak wściekle wypoczęty miałem umysł!...

Tymczasem dziwny jegomość w kitlu mówi do mnie:

— Przypominam się... Jestem rejent Wierzgajło z Kulfonowa, a mam przyjemność rozmawiać z panem Rzempolskim?...

Podniosłem się z górki, syknąłem z bólu, natarłem nogę potłuczoną i rzekłem:

— Byłbym prawdziwie szczęśliwy, gdybym mógł nazwać się znajomym panu dobrodziejowi Rzempolskim, bo zapewne poratowałyby mnie pan w mojej niedoli, lecz niestety!... nie jestem Rzempolskim, tylko Fitulskim.

Szpakowaty jegomość klasnął w rękę.

— Z którychże to?... Jak na imię pańskiemu ojcu?...

— Teodor — odparłem, coraz mocniej zdziwiony.

— No, więc pan jesteś ciotecznorodzonym siostrzeńcem mojej małżonki, z domu Fafulskiej... O Krystynie Fafulskiej musiałeś słyszeć...

— Ja nie jestem Fafulski, tylko Fitulski...

— Aaa... Fitulski?... — powtórzył jegomość.

— Niech pan dobrodziej wyobrazi sobie — mówiłem z energią rozpaczy — że dziś o dziesiątej wyjechałem z Warszawy — tu, w tym miejscu, zepsułem rower i potłukłem się, a gałgan chłop z tamtej chaty odmówił mi wszelkiej pomocy... Nawet koni do stacji nie chciał mi wynająć, chociaż byłem gotów dobrze zapłacić...

Rodzina złego chłopca stała o paręset kroków od nas, przed zagrodą. Jegomość kiwnął w ich stronę ręką, a po chwili przybiegł tęgi, dwudziestoletni chłopak.

— Powiedz ojcu — rzekł rejent — że ten pan wcale nie jest Rzempolskim, nawet nie zna Rzempolskiego... Więc niechaj stary da konia i wóz, a pan zapłaci wam do stacji, no, ile?... Dwa ruble!... Zgoda?...

— Owszem — odpowiedziałem, choć zamiast dwu rubli wolałbym niegodziwemu chłopu dać ze dwadzieścia kijów...

Wyrostek pobiegł do zagrody, a rejent, usiadłszy w bryczce, począł badać mnie prawie jak sędzia śledczy.

— Ja także — mówił — znam trochę klub warszawskich cyklistów... Widziałem kiedyś wiceprezesa... Jakże on się to nazywa?...

— Fertner...

— O to... to... Miły człowiek!... A ten wasz kapitan, jakże mu tam?...

— Może Leppert?...

— Leppert... Leppert... To chwat człowiek!... — wykrzykiwał rejent. — Pan Fertner, jeżeli się nie mylę, to taki niski, gruby, brunet...

— Ale gdzież znowu!... — zaprzeczyłem. — Pan Fertner jest wysoki, dzielnie zbudowany blondyn...

— Przepraszam... w głowie mi się pomieszało!... Pan Fertner, zdaje się, mieszka gdzieś na Senatorskiej?... — badał dalej rejent.

— O ile wiem, mieszka tuż obok Sewerynowa... — odparłem już trochę zirytowany.

— Przepraszam... stokrotnie przepraszam za moją nieuwagę!... — wołał rejent potrząsając mnie za rękę. — Ale stary jestem... skłopotany... więc nieraz mówię, sam nie wiem co...

Chciałem potwierdzić, alem ugryzł się w język, a tymczasem rejent prawił dalej:

— Z przyjemnością wziąłbym pana do swojej bryczki, a chłopak wiózłby za nami rower... Ale, widzi pan — dodał tajemniczo — parę dni temu uciekł z więzienia Olejarek... Wie pan, ten sławny rozbójnik... Policja szuka go po wszystkich kątach, więc gdyby nas spotkał jaki oddziałek a zaczepił o legitymację, mógłby pan znaleźć się w kłopotliwym położeniu, no i ja z panem... A tymczasem ja jadę do Warszawy i muszę być tam na szóstą, choćby pioruny biły...

— Ja mam przy sobie książeczkę legitymacyjną i bilet na rower — odparłem, ciągle dziwiąc się.

— A to dobrze!... bardzo dobrze... Ale pan dobrodziej śmiały!... — zaczął jegomość z innej beczki. — Taki kawał drogi puszczać się, gdy Olejarek uciekł z więzienia...

— Cha!... cha!... — wybuchnąłem szyderczym śmiechem. — A niechże tu przyjdzie ten pański Olejarek i niech mnie zaczepi!... Dostanie taką kulę w łeb...

— Pan dobrodziej masz broń? — pytał ciekawie rejent.

— Sześciostrzałowy rewolwer amerykański...

— I nie lękałbyś się pan Olejarka?...

— Nawet trzech...

— I legitymacje ma pan w porządku?

— Przecież powiedziałem...

Klasnął w ręce i podskoczył na bryczce.

— W takim razie niech pan siada i jedzie ze mną, a chłopak przywiezie za nami rower...

Ponieważ w tej chwili chłopak nadciągnął z wozem, więc rejent kazał mu wziąć maszynę, a mnie zaprosił do bryczki.

— Zawdy na moim stanęło!... — mruknął furman z fioletowym nosem.

Zaciał konie i wjechał na piaszczystą drogę boczną, która prowadziła do stacji kolejowej.

— Nie pyskuj!... Walek, nie pyskuj, kiedy cię nie pytają — gromił go rejent. — Co to tam widać na szosie?

— Dwa Żydy! — odparł furman.

— Jędre! — zwrócił się rejent do jadącego za nami chłopaka — trzymaj się, synku, bryczki jak ślepy sznura!... A kłonicę dobrą masz?... Bo pamiętaj, że Olejarek...

— Co nam robi Olejarek? — wrzeszczał za nami chłopak. — On ino czypi się takich, co duże pieniądze mają przy sobie...

— Żeby ci język wykręciło!... — mruknął rejent.

Zacząłem przypuszczać, że jegomość wiezie pieniądze,

może nawet grube... Ażeby go uspokoić, odezwałem się:

— Kto nas tu zaczepi, panie dobrodzieju?... Biały dzień... droga wprawdzie piaszczysta, ale prosta jak strzała...

— Ze trzy wiorsty będzie szła przez las... — wtrącił rejent.

— Chociażby! — odparłem. — Przecież jedzie nas czterech... ja mam rewolwer...

— A ja to nie?... — odezwał się znowu rejent.

— No więc widzi pan... Ażeby nam dać radę, trzeba z dziesięciu napastników, a przecież tylu dziś skupić się nie może, jeżeli ściga ich policja...

— Dałby Bóg, ażeby pan miał rację! — mruknął rejent, już nieco spokojniejszy.

Mój nowy przyjaciel i protektor stanowczo miał ćwieka w głowie. W pierwszej chwili jego pytania i obawy bawiły mnie tak, że z trudnością powstrzymywałem się od śmiechu. Wnet jednak przypomniałem sobie, że nie dawniej jak wczoraj i onegdaj ja sam dopuszczałem się podobnych dziwactw, a między innymi lękałem się obłąkania. Czymże zaś ma być gorszą obawa przed Olejarkiem aniżeli przed bzikiem?...

Te uwagi pohamowały moją wesołość i rozbudziły współczucie dla zacnego rejenta. Więc, ażeby jego myśli odwrócić w innym kierunku, zapytałem:

— Pan dobrodziej zna chłopą, który w tak niegodny sposób odmówił mi pomocy?...

— Znamy go, i jeszcze jak! — odezwał się furman, przy czym odwrócił do mnie głowę i znowu mrugnął jak na starego znajomego.

— Walek, nie pyskuj, kiedy cię nie pytają! — krzyknął rejent.

A ja pomyślałem, że zrobiłby jeszcze lepiej, gdyby tak — czymś twardym — skrobnął przez łeb zuchwałego poganiacza. Bo i z jakiej racji ten pijaczyna mruga na mnie?... skąd może mnie znać?... gdzie mnie widział?...

— Chłopa tego znam od piętnastu lat — mówił rejent. — Nazywa się Mateusz Dziegiel.

— Na imię mu Maciek — wtrącił furman.

— Walek! oducz ty się tego pyskowania, kiedy cię nie pytają! — zawołał rejent tak strasznym głosem, że furman mocniej zaciął konie i trzasnął głową ze złości, ale umilkł, tym razem na dłuższy czas.

Cóż to za nieznośna figura!

— Ten Dziegiel musi być złym człowiekiem — odezwałem się. — Jak można odmawiać pomocy podróżnemu, w dodatku prawie skaleczonemu...

— Chłop źle uczynił, ani słowa — rzekł rejent — ale nie bez powodu. Pan dobrodziej jesteś trochę podobny do niejakiego Rzempolskiego, który także był blondyn, tęgo zbudowany i jeździł na rowerze... No a Dziegiel wścieka się, ile razy wspomni o kimkolwiek z Rzempolskich.

— Cóż oni mu zrobili takiego? — zapytałem.

Bryczka powoli sunęła po piaszczystej drodze. Rejent uniósł się na siedzeniu, spojrzął przed siebie i za siebie, a nie dostrzegłszy nic podejrzanego, zaczął mówić:

— Nie wiem, czy pan zauważył, że istnieją rodziny będące jakby wcieleniem przymiotów albo wad ludzkich. Ja na przykład znam jedną rodzinę muzykalną, dwie karciarskie, jedną pobożną, jedną oszczędną i tak dalej. Otóż rodzina państwa Rzempolskich jest wcieleniem historyczności, dodajmy: fałszywej i obłudnej. U nich wszystko jest historyczne. Dzieci nazywają się: Rzepichami, Krakami, Bolesławami. Sprzęty są odziedziczone po Piastach, Jagiellonach i Sasach. Mają zegar nienakręcany od chwili, w której Jan Kazimierz postanowił abdykować (ten sam zegar nie nakręcał się od dnia wyjazdu Stanisława Augusta), posiadają pióro Napoleona, papierośnicę Batorego, samowar Kościuszki i im podobne autentyki. Oprócz historycznych sprzętów, państwo Rzempolscy mają jeszcze mnóstwo

historycznych wspomnień, do których stosują najzwyczajniejsze wypadki życia. Pewnego dnia, gdym trafił do nich na obiad, zawiadamia nas pani domu, że — nie będzie pieczeni. Zwyczajna gospodyni powiedziałaaby: nie będzie pieczeni, bo nie dostaliśmy mięsa. Ale pani Rzempolska wyjaśniła to w taki sposób: nie będzie pieczeni, ponieważ dziś mamy rocznicę zgonu Jana Zamoyskiego.

Innym razem ogłosiła pani, że kartofle będą nieomaszczone z powodu rocznicy ucieczki Henryka Walezego, lecz gdy w chwilę później kucharka znalazła kawałek słoniny i podała kartofle omaszczone, pani, z najlepszą miną, oświadczyła, że będą jedli kartofle tłuste, ponieważ w tym dniu przypadają urodziny Rzepichy małżonki Piasta.

Tacy to państwo osiedli w roku zeszłym na letnim mieszkaniu niedaleko Dziegielówki i zaznajomili się ze wszystkimi sąsiadami. Dziegiel, chłop ambitny, bardzo prędko zaprzyjaźnił się z nimi na życie i śmierć. Naprzód bowiem pochlebiało mu, że państwo z Warszawy nazywają go bratem, a jego żonę siostrą, a po wtóre, całkiem stracił rozum, gdy od pana Rzempolskiego dowiedział się, że Dziegielowie za czasów Piasta i Rzepichy byli senatorami, a schłopieli dopiero skutkiem najścia do kraju Żydów i Niemców.

„Dlatego zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że dobry obywatel nie powinien nic kupować ani od Żydów, ani od kolonistów Niemców!” — zakończył stary Rzempolski.

„A kiedy u Żydów taniej” — odparł Dziegiel.

„Nic, że taniej. Kupuj drożej, ale od swoich.”

„A jeżeli nie kupimy siana od Niemców, to trzeba jechać aż o dwie mile drogi” — dorzucił Dziegiel.

„Jedź o dwie mile, a od Niemców nie bierz!” — odpowiedział Rzempolski.

Słuchałem tych teorii milcząc. Ale kiedy raz pani Rzempolska wytłumaczyła Dziegielowi, że 15 lipca, jako w

rocznicę bitwy pod Grunwaldem, żaden uczciwy obywatel nie powinien pracować (a lipiec na wsi to miesiąc najszańszej roboty), nie mogłem już wytrzymać i odezwałem się:

„Nie wiem, po jakiego diabła cieszymy się z Grunwaldu, skoro w tej bitwie Polacy naprawdę nic nie zyskali... Usunęli Krzyżaków, ażeby zrobić miejsce Hohenzollernom...”

Gdy to powiedziałem, pani Rzempolska wpadła na mnie z furią i oświadczyła, że jestem złym obywatelem.

Od tej pory nikt z rodziny Rzempolskich nie kłaniał mi się, ja przestałem u nich bywać, a jednocześnie sympatia, jaką miał dla mnie Dziegiel, ochłodziła.

„To niedobrze — powiedział raz chłop do mojej żony — to niedobrze, że państwo Rzempolscy gniewają się na pana rejenta... Państwo Rzempolscy to ho!... ho!...”

Wzruszyłem ramionami i postanowiłem czekać, co będzie dalej. Nie nudziłem się też zbyt długo, ledwie do jesieni, i doczekałem takich nowin:

Wyjeżdżając z letniego mieszkania do Warszawy państwo Rzempolscy umówili się z Dziegłem, że on przetransportuje im rzeczy za osiem rubli. Ponieważ jednak Żyd z Kulfonowa zgodził się za siedem rubli i pół, więc wzięli Żyda, a Dziegła zostawili na koszu. Skrzywdzili go na osiem rubli — jak mówił chłop. W kilka dni po wyjeździe historycznej rodziny, pomiędzy chłopami i kolonistami, dotychczas żyjącymi zgodnie, wybuchły tak gwałtowne niesnaski, że ktoś podpalił kolonistę Szperlinga, a za to kum Dziegła i jego brat cioteczny — poszli do kryminału. Po tych wypadkach Dziegiel wyglądał jak odurzony. Nie tyle chodziło mu o brata i kuma, podejrzanych o podpalenie, ile o to, że państwo Rzempolscy, aby oszczędzić sobie pięćdziesiąt kopiejek, dali Żydowi, nie jemu.

„Ja przecie wiem — mówił chłop — że Żyd jest człowiek i także jeść potrzebuje, i nie o to mi idzie, że wziął siedem i pół rubla... Ale nie mieści mi się w głowie, że tak zrobili ze mną

państwo Rzempolscy... Przecie oni mnie nazywali bratem, przecie mówili, że Dziegłowie i Rzempolscy to jedno, przecie tłumaczyli bez cały kwartał, że jak się nie będziemy trzymać kupy, to zostaniemy żydowskimi i niemieckimi parobkami... No i widzicie, jak się trzymali kupy!”

Tymczasem Dziegła czekała większa niespodzianka. Pewnego dnia w aptece powiedziano mu, że pani Rzempolska i pan Rzempolski, i panienki, które przebierały się za starolechickie dziewoje, że wszyscy oni, ile razy było im potrzeba, kupowali u Żydów nie tylko tkaniny, igły i nici, ale nawet cukier, herbatę i pieczywo, pomimo że w Kulfonowie była chrześcijańska piekarnia i sklep kolonialny.

I jeszcze nie koniec: w tym samym bowiem czasie Dziegiel dowiedział się, że młody pan Rzempolski niejednokrotnie jeździł rowerem do kolonistów i nie tylko kupował u nich masło, ale mówił im, że Niemcy są czystszy od naszych chłopów, co zresztą jest prawda.

„Więc to tak u państwa — skarżył się rozgoryczony Dziegiel — że szlachcic może brać od Niemców masło i jeszcze wydziwiać na chłopów, ale chłopu nie wolno od kolonistów nawet siana kupić dla bydła? Państwo mówią, że Żydy są chytre, ale ja powiem, że niejedyn pan to i Żyda przeskoczył.”

A chwilę pokiwawszy głową i podumawszy, dodał: „I ja, głupi, poswarzyłem się z Moszkiem i z Szapsią, a mój kum i mój brat poszli do kryminału za Śperlinga!...”

Od tej pory w sercu chłopca zagnieździła się i rozrosła nienawiść do Rzempolskich, której skutki widział pan po sobie. Nie chciał panu dać pomocy, ponieważ wydało mu się, że pan podobny do młodego Rzempolskiego. A kiedy teraz przejeżdżał około zagrody, Dziegiel wyszedł, pokazał mi, że pan leżysz na kopcu, i powiedział:

— Niech go pan rejent uprzątnie stąd, Rzempolszczaka, bo jak mi co do głowy uderzy, złapię siekiery i zgładzę pieskie nasienie...

Chłopami nie można się bawić, panie Fa... Fa...

— Fitulski — wtrąciłem.

— Tak!... tak!... panie Fitulski — kończył rejent — chłopami bawić się nie można, to niebezpieczna zabawka... No, dzięki Bogu, mamy tedy i las!...

Istotnie wjechaliśmy do lasu. Rosły w nim przeważnie sosny stare i wielkie, choć nie brakło młodych sosenek, lip dziwacznie powyginanych i krzaków. W głębi, po jednej i po drugiej stronie gościńca, było widać piaszczyste wzgórza.

— Jędrek... a jesteś tam? — zawołał rejent.

— Jestem!... jestem!... — odpowiedział jadący tuż za nami chłopak.

— Walek, uważaj — mówił rejent. — Nie myśl diabli wiedzą o czym, tylko oglądaj się na prawo i na lewo, ażebyś... ażebyś nie wjechał na korzeń i nie wywrócił. Szczególny las!...

Do tej pory nic osobliwego nie zauważyłem w tym lesie, lecz gdy rejent nazwał go „szczególnym”, spostrzegłem na urwistym pagórku sosnę pochyloną w tak dziwny sposób, jakby nam się przypatrywała. Potem zobaczyłem drugą, garbatą sosnę obok małej sosenki i zdawało mi się, że jest to babka z wnuczkiem. Na lewo od drogi dwie sosny coś sobie szepczą do ucha, a na prawo — znowu jakaś grupa familijna: wysoka sosna — niby mąż, niska a gruba — niby otyła żona, przed nimi mała sosenka — niby dziecko, a za nimi krzak jałowcu — niby piesek...

Wjechaliśmy na szczyt wzgórza, a jednocześnie rejent zawołał:

— Patrzaj!... patrzaj!... kogo tam widać?...

— Jakieś dwa idą, z miejska odziane — odparł niechętnie furman.

— Jędrak, pilnuj się!... — wrzasnął rejent. A potem rzekł do mnie zniżonym głosem:

— Miej pan rewolwer w pogotowiu... Nie podobają mi się tamci dwaj...

— To nasz rzeźnik i organista... — wtrącił furman, przypatrzywszy się uważniej.

— Nie łyżj, Walek... nikt ci za to nie zapłaci... — ofuknął rejent.

— Przecie nie łgam... Rzeźnik i organista...

— Ich szczęście — mruknął rejent, ściskając krótki rewolwer dużego kalibru.

Dwaj podejrzani o niebezpieczne zamysły minęli nas i nie tylko przywitali życzliwie, ale nawet uśmiechnęli się.

— Nareszcie!... — zawołał rejent, uderzając się w kolano. — Już i las się kończy. A ja tam zawsze będę dziękował Bogu, że obeszło się bez awantury...

— Co ta mogło być!... — mruknął furman.

— Nie pyskuj, Walek, kiedy cię nie pytają — krzyknął rozweselony rejent.

— Ale pan rejent z Dziegłem jest znowu w dobrych stosunkach — odezwałem się.

— Stara znajomość, nie byle co ją zerwie — odpowiedział rejent. — Byłbym przysiągł, że któremu z tych dwóch gałganów będę musiał strzelić w łeb!...

Niedobrze jest z poczciwym rejentem... — pomyślałem i rzekłem głośno:

— Czy wolno wiedzieć, w jaki sposób pozyskał pan ufność tego dzikiego chłopca?...

— Dziegła? — spytał rejent. — W bardzo prosty sposób. Naprzód, nigdy go nie oblagowywałem, co niekiedy trafia się panom z inteligencji... A po wtóre, w stosunkach z nim i w ogóle z chłopami nigdy nie narzucałem moich upodobań, lecz zawsze starałem się służyć ich własnym interesom.

Dzięglowi, na przykład, raz dałem garniec dobrych kartofli do sadzenia... Drugi raz ostrzegłem go, ażeby nie kupował ziemi od aferzystów... Innym razem moja córka wyleczyła Dzięglową z febry... A przy każdej sposobności powtarzam każdemu chłopu: im więcej włożysz w ziemię nawozu i pracy, tym większe będziesz miał dochody...

— A moralnego wpływu pan rejent nie stara się wywierać na nich? — spytałem.

— Pan myśli, że wskazywanie chłopu drogi do dobrobytu to wpływ niemoralny? Proszę pana — mówił, kiwając głową — z długoletniej praktyki mogę zapewnić, że gdy chłop nie lęka się głodu, ma porządną chatę i coś niecoś gotowizny, to zaraz prenumeruje „Gazetę Świąteczną” albo „Zorzę”, kształci dzieci i staje się tak dobrym obywatelem jak my dwaj... Wprawdzie nie deklamuje, nie blaguje, ale obywatelem jest.

Nagle poczciwy rejent zaczął znowu klaskać w ręce i zawołał:

— Stacja!... patrz pan, nasza stacja!... Walek dostanie ode mnie złotówkę, a Jędrak dwadzieścia groszy...

Słuchając tych wykrzykników nie mogłem opanować zdziwienia.

— Pan rejent zawsze tak... wzruszony w podróży?... — zapytałem.

Bystro popatrzył na mnie i odparł z uśmiechem:

— Chcesz pan powiedzieć, czy zawsze w podróży zachowuję się jak kandydat do Jana Bożego ... Wcale nie!... Wyjeżdżam z domu przynajmniej raz na tydzień i podróżuję jak wszyscy ludzie. Ale dziś... Mój panie, od dwu dni biegam rozdrażniony jak kot z pęcherzem, dwie noce nie spałem i ciągle trapiły mnie przeczucia, że dziś do stacji nie dojadę bez wypadku... Rozumie pan?...

— Najzupełniej rozumiem!... — odpowiedziałem z głębokim przekonaniem. — Ja także przez kilka nocy nie spałem i ciągle zdawało mi się, że zwariuję...

— No, tośmy obaj z tego samego pułku!... — zawołał rejent.
— Chociaż, powiem panu, że jeżeli w tych dniach nie oszalałem, to muszę mieć tęgą głowę...

Zaczynałem nie tylko rozumieć, ale i odczuwać stan duszy rejenta. Musiał mieć jakiś diabelny kłopot, z którego wypłynęły wszystkie ekscentryczności.

Bryczka zaturkotała po bruku i w chwilę później wysiedliśmy przed stacją. Rejent był jak odrodzony: poklepał pijaczną furmana, Jędrkowi zamiast obiecanych dwudziestu groszy dał złotówkę i, krokiem młodego chłopaka, pobiegł do dworca.

Ja także zapłaciłem Jędrkowi obiecane dwa ruble, oddałem zepsuty rower posługaczowi i nareszcie ofiarowałem pół rubelka pijaczynie Walkowi, słusznie myśląc, że im mniej mu dam, tym on mniej przepije.

Fioletowonosy furman zdjął czapkę i kłaniając mi się, rzekł:

— Ja, jakim ino zobaczył na kopcu, zaraz poznałem wielmożnego pana i powiedziałem panu rejentowi, że trzeba odwieźć pana do stacji.

— Poznałeś mnie? — odparłem zdziwiony. — A gdzieżeś mnie pierwej widział?...

— Przecie na jarmarku w miasteczku widziałem pana i pan mnie. I jeszcze patrzył się wielmożny pan we mnie jak w cudowny obraz...

— Ja?... w ciebie?... jak w cudowny obraz?... — zawołałem — i nagle błysnęła mi myśl, że nie tylko rejent, ale i jego furman mają przewrócone klepki w głowie. — Gdzieżeś ty był?...

— Przecie mówię, że byłem na jarmarku z naszą panią i panienkami. Tylko nie byliśmy bryczką, ino powozem.

Serce zaczęło mi bić gwałtownie.

— Co, byłeś na jarmarku powozem?... A na koźle...

— Juźci, że byłem na koźle — odparł Walek. — Gdzieżem miał być...

Myślałem, że pijaczyneę chwycę w objęcia. Więc powóz, który tak nagle uciekł przede mną z jarmarku, to był powóz rejenta, a słodkie dziewczę z niebiańskim owalem twarzy, z puklami ciemnych włosów, z nieskończonością w spojrzeniu, ta ukochana, ta jedyna, ta, którą przeczuwałem w marzeniach, ta wyśniona... była córką najpocziwszego, najzacniejszego rejenta!... No, i niechże teraz ośmieli się kto twierdzić, że nie ma przeznaczenia!...

Dołożyłem Walkowi rubla i pędem wbiegłem do stacyjnego budynku, ażeby odnaleźć rejenta. Naturalnie, że nie ośmieliłbym się wspomnieć o jego ślicznej, o ukochanej córce... Chciałem tylko podziękować mu, podziękować z całego serca, że poratował mnie w ciężkiej potrzebie, no i o ile będzie można pragnąłem zawrzeć z nim. bliższą znajomość.

Ale ani w poczekalni, ani w biurze, ani w bufecie nie było rejenta. Wtedy machinalnie otworzyłem drzwi do damskiego pokoju i zobaczyłem widok, na który serce we mnie zamarło. Na stoliku stała flaszczyka z bezkolorowym płynem, obok niej kieliszek podzielony na gramy... A przy stoliku siedział rejent oparty na łokciach i — płakał!...

Przerażony schwyciłem go w objęcia i zawołałem:

— Co panu jest?... co pan pije?... dlaczego pan płacze?...

Rejent otarł łzy i spojrzał na mnie z wyrazem życzliwego zdumienia. Potem uśmiechnął się i odparł:

— Nic... nic... Uspokój się pan... Wypiłem łyżkę bromu na ułagodzenie nerwów i za godzinę będzie mi dobrze...

— Ale co się stało?... Przed kilkoma minutami był pan zupełnie wesoły...

— I jeszcze będę wesoły... będę... Tymczasem jestem rozdrażniony... Widzisz pan — mówił rejent, wciąż przypatrując mi się z życzliwością — trzeba wierzyć przeczuciom... Mówiłem, że musi mnie spotkać nieszczęście, i spotkało... Pociąg spóźnił się o godzinę... Nie będę na szóstą w Warszawie...

— Ależ w spóźnieniu się, choćby o parę godzin, nie widzę żadnego niebezpieczeństwa! — zawołałem.

— Przeciwnie — odparł — jest niebezpieczeństwo... Mam do załatwienia ważny interes pieniężny, w którym już chybiliśmy dwa terminy... Obecnie nasz wierzyciel nie zechce czekać dłużej, zerwie układy... Moja dość bliska rodzina straci cały majątek, a ja sam kilkanaście tysięcy rubli.

Znowu zaczęły drżeć mu usta, a zaczerwienione oczy napęłniły się łzami.

— Panie drogi! zawołałem chwytając go za rękę — ależ to przesada... Jestem urzędnikiem Banku Kredytowego i trochę znam się na interesach... Nikt nie może zerwać układów dlatego, że siła wyższa nie pozwala panu stawić się na godzinę szóstą... A przecież spóźniony pociąg to siła wyższa.

— Oni o tym nie wiedzą — odparł złamanym głosem.

Poznałem, że poczciwy rejent stracił wszelką energię, więc rzekłem:

— Gdzie ma odbywać się pańska sprawa?...

— U rejenta Łabińskiego...

— No, panie, ależ ja go znam. To w całym znaczeniu porządny człowiek i on wszystkiemu zapobiegnie...

— Jakim sposobem? — pytał ojciec mojej najdroższej, mojej jedynej, mojej wyśnionej...

— Niech mi pan rejent pozwoli działać — zawołałem. — Niech mi pan zaufa na chwilę jak... synowi.

— Ależ ufam ci... ufam! — odparł rejent całując mnie. — Gdybym wiedział, że jesteś urzędnikiem Banku Kredytowego, że znasz Łabińskiego, nigdy nie odważyłbym się robić z tobą głupich ceremonii tam... na kopcu...

Pobiegłem do biura telegraficznego, wysłałem pośpieszną depeszę do Warszawy i w dziesięć minut byłem z powrotem u rejenta, który tymczasem nieco ochłonął z rozdrażnienia. Tylko

nie wiem, czy już brom zaczął działać, czy to był moralny wpływ mojej energii...

— Uspokoił się pan? — zapytałem.

— Tak, troszkę... Rozumie się, że trzeba było wysłać telegram... ale już mi zabrakło konceptu...

— No, widzi pan, jak wszystko dobrze się składa...

Pokręcił głową i pokiwał ręką.

— Jeszcze daleko do dobrego!... Ponieważ rejent Łabiński zawiadomiony, więc nie lękam się katastrofy, ale nie wiem, co robić ze sobą... Do domu wracać boję się...

— Po co do domu? — wtrąciłem. — Niech pan jedzie do Warszawy...

Rejent zbliżył się do mnie i szepnął:

— W Warszawie nocować w hotelu także się boję...

— Po cóż nocować w hotelu? — zapytałem zdziwiony. — Ja mam dwa pokoje, skromne wprawdzie, ale przyzwoite i bezpieczne. I jeżeli tylko ma pan do mnie choć trochę zaufania...

— Jak do syna! — odparł rejent. — Skoro wiem, że jesteś urzędnikiem Banku Kredytowego, że znasz Łabińskiego...

Byłem tak wzruszony... tak wzruszony... że pocałowałem staruszką w ramię... Zdawało mi się, że każde jego słowo zbliża mnie do mojej najdroższej... do mojej jedynej...

Nie wiem, czy pod wpływem hołdu, jaki mu złożyłem, czy nagłego natchnienia, poczciwy rejent rzekł do mnie:

— Wszystko ci opowiem, ażebyś wiedział, jakie czasem na człowieka spadają zgrzyoty... Ale wyjdźmy stąd na otwarte powietrze... Ściany miewają uszy...

Cóż to za straszną tajemnicę ma mi opowiedzieć rejent... — pomyślałem.

Wyszliśmy wzdłuż planty, za stację.

— Kiedy pomyślę — zaczął rejent — w jaki dziwaczny sposób zachowuję się od kilku godzin, nie tylko wstyd mi, ale nawet lękam się, ażebyś nie poczytał mnie za wariata...

— Ależ, panie!... — zawołałem — ja także wczoraj i onegdaj robiłem to samo. Kiedy nerwy rozigrają się z jakiegokolwiek powodu...

— Otóż, mój drogi — przerwał rejent — u mnie nerwy rozigrały się z kilku powodów. Opowiem ci to jak najkrócej...

Chciałem mu wyrazić dozgonną wdzięczność za ten dowód prawdziwie ojcowskiego zaufania, ale zacny rejent nie pozwolił mi zabrać głosu.

— Moja siostra cioteczna, musisz ją znać, Jarzębina Przewracalska...

— Słyszałem tylko o jej synu: wielki elegant...

— O tak!... — westchnął rejent. — Otóż moja siostra cioteczna ma spory majątek ziemski, dochodny, ale zadłużony, a przy tym głupio zadłużony. Dzięki warunkom umowy, jej główny wierzyciel mógł zażądać w kwietniu, ażeby do maja wypłaciła mu dwadzieścia tysięcy rubli, których potrzebował na pokrycie jakichś tam należności...

Idąc ciągle wzdłuż plantu rejent zatrzymał się w drodze, pomyślał i ciągnął dalej:

— Pomijam bardzo ważne i niesłychanie przykre okoliczności uboczne, związane z wypłatą owej sumy. Dość, że chybiliśmy dwa terminy: nie zapłaciliśmy ani 10, ani 12 maja... Ja zaś dopiero we wtorek otrzymałem telegram od Łabińskiego, że jest źle i że jeżeli na dziś na godzinę szóstą wieczór nie dostarczę dwudziestu tysięcy rubli, nasz wierzyciel zerwie układy, postara się o pożyczkę gdzie indziej, a majątek siostry wystawi na licytację. Co gdyby nastąpiło, siostra byłaby zrujnowana, a ja straciłbym piętnaście tysięcy rubli, które mam u niej na czwartym numerze.

W tym, co opowiadam, niejedna rzecz wyda ci się niejasną i niedokładną, ale... pomijam szczegóły... Dość, że musiałem w ciągu dwu dni, w marnym miasteczku i okolicy, zebrać

dwadzieścia tysięcy rubli, za które w grudniu roku bieżącego zapłacimy dwadzieścia trzy tysiące!...

— Cóż za warunki! — odezwałem się.

— Warunki szkaradne, ale — musieliśmy je przyjąć... Bądź co bądź, ja podczas tej gonitwy za pieniędzmi już byłem tak zirytowany, że przez dwie ostatnie noce literalnie oka nie zmrużyłem. I to mnie podcięło...

— Spodziewam się...

— Ano widzisz. Ale słuchaj dalej. Kiedy dziś mam jechać na kolej, dowiaduję się, że z więzienia uciekł sławny rozbójnik Olejarek i że krąży w okolicach Kulfonowa. Skóra na mnie ścierpła, ponieważ w całym mieście wiadano, że mam dwadzieścia tysięcy rubli i że zapewne gdzieś z nimi pojedę... Rozumiesz moją trwogę?... Bo przecie specjalnością Olejarka było napadanie i zarzynanie kasjerów wiozących pieniądze...

— Tak, to nieprzyjemnie! — odezwałem się.

— Szczęściem — mówił rejent — miał dziś do Warszawy jechać nasz geometra, człowiek odważny, silny i wybornie strzelający z dubeltówki. Więc wziąłem go na swoją bryczkę, on zabrał dubeltówkę, i... jazda!... Tymczasem patrz, co się dzieje: o trzy wiorsty za Kulfonowem spotykamy komisarza, który przypomina geometrze, że miał być dziś u niego, że do niego jedzie, i... z drogi zabiera mi chłopca razem z dubeltówką!... Przez dwa dni miałem jak najgorsze przeczucia, ale od chwili, gdy geometra opuścił moją bryczkę, niezachwianie uwierzyłem, że musi mnie spotkać jakieś nieszczęście. Pomimo to jechałem dalej... z dwudziestoma tysiącami rubli przy sobie — dodał rejent ciszej, choć dokoła nas nie było nikogo. — W drodze myślę: trzeba wstąpić do Dziegła i zabrać go ze sobą. Jakoż wstąpiłem, ale Dziegiel nie mógł jechać do stacji. Na szczęście, powiedział mi, że obok drogi zemdlał czy zasnął młody Rzempolski, któremu zepsuła się maszyna.

Z Rzempolskim, jak ci mówiłem, moje stosunki są zerwane; ale w takiej chwili zapomniałem o nieporozumieniach. Myślę sobie: Rzempolski chce dojechać do stacji, ja potrzebuję towarzysza, więc go zabiorę, a dla większego bezpieczeństwa każę Jędrkowi, ażeby jechał za nami.

Taki miałem projekt. Więc zrozumiesz moje przerażenie, kiedy usłyszałem od ciebie i przekonałem się, że nie jesteś Rzempolskim, że nawet nie jesteś Fafulskim, kuzynem mojej żony... Na szczęście, dodał mi otuchy twój uniform cyklistowski i pomyślałem: jeżeli jest cyklistą, musi być porządnym chłopakiem... Tak... jeżeli jest!... Ale jeżeli jest przebrany bandytą?...

Oto dlaczego zacząłem wypytywać się o Fertnera i Lepperta, których znam z widzenia i ze słyszenia. Prawda, że wypytywałem cię niezgrabnie, wybacz mi przez wzgląd na kłopot i trwogę, jaka wówczas nade mną panowała... Ale ciebie to nic nie obchodzi...

— Jako żywo! — zawołałem chwytając go za rękę. — Tak mocno odczuwam pańskie niepokoje, jak gdyby chodziło o mego własnego ojca...

— To, że mi współczujesz, widzę, ale ciebie nic nie obchodzi, że... Że ja mam tu, przy sobie... a właściwie na sobie, dwadzieścia tysięcy rubli...

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Proszę pana — odparłem — moi koledzy wożą sumy dziesięć razy większe i nic nas to nie obchodzi... W moim skromnym mieszkaniu, które pan dobrodziej raczy poznać, leżało przez noc osiemdziesiąt pięć tysięcy rubli i nawet nie myślałem o nich... My, bankowcy, dużo widzujemy pieniędzy...

Pocziwy rejent wyciągnął do mnie rękę i już nie wiem po raz który ucałował w oba policzki.

— Owszem — rzekł — skorzystam z twojej gościnności, ale pod warunkiem...

Gorąco mi się zrobiło. Odgadywałem, jaki to będzie warunek, lecz mimo to odparłem:

— Nie ma warunku, na który ze strony pana dobrodzieja nie zgodziłbym się...

— Postawię ci jeden, ale mocny: oddasz mi wizytę jak najrychlej i od tej pory, ile razy pozwoli ci czas, będziesz do nas przyjeżdżał, do Kulfonowa...

W tej chwili uczułem, że moja najdroższa, moja wymarzona, moja jedyna... zbliżyła się do mnie nie dalej jak na wyciągnięcie ręki. W mojej duszy zapanował uroczysty nastrój, zrozumiałem bowiem, że ona jest tą właśnie kobietą, którą los mi przeznaczył... I nie wierzyć tu w przeznaczenie!...

Nagle rejent stanął na drodze. Widać było, że rozmyśla, że waha się... Wreszcie rzekł zniżonym głosem:

— Już powiem ci wszystko, ażebyś do dna zrozumiał stan mojej duszy...

Słyszałem bicie pulsu w skroni...

— A czy wiesz, dlaczego nie zapłaciliśmy dwudziestu tysięcy rubli na termin? I czy wiesz, dlaczego ja, Wierzgajło, przez dwa dni musiałem zbierać pieniądze od Żydów i zobowiązać się do ich lichwiarskiego procentu?... Oto dlatego, że mój siostrzeniec, wysłany przez matkę z gotówką do Warszawy, zamiast zapłacić dług, przegrał w karty dwadzieścia tysięcy rubli... Dlatego już trzeci dzień biegam jak wariat, drzę o posag mojej córki, lękam się napadu Olejarka, piję brom, kompromituję się w oczach ludzi, którzy mnie nie znają... Dlatego płaczę z rozdrażnienia... Dlatego — szeptał zaciskając pięści — że mojemu siostrzeńcowi podobało się przegrać dwadzieścia tysięcy rubli, które mu powierzyła matka!...

— Karciarz?... — zapytałem, nie wiedząc, co mówić.

— Do tej pory bawił się kartami jak u nas wszyscy. Grał w domu z matką i z rządcą, grywał u sąsiadów, grywał w Warszawie, grywał wieczorami, grywał z rana... Wszystko to

jednak były sumy niewielkie. Dopiero teraz, mając w rękach dwadzieścia tysięcy rubli, spróbował szczęścia na większą skalę, no — i udało mu się... Nasz wierzyciel wścieka się... matka leży ciężko chora... mnie widzisz, jak wyglądam... ludzie drwią z nas albo krzywo na nas patrzą...

— A cóż on?

— Rozmawiał wczoraj z jednym z naszych sąsiadów i zapewnił go...

— Że nie weźmie kart do ręki?... — wtrąciłem.

— Nie, że odegra się na pewno — odparł, rejent.

— A skąd weźmie pieniędzy? — zapytałem.

— Czy ja wiem?... Może pożyczycy, może kogo okradnie, a może sfalszuje weksel, czy ja zresztą wiem, co on robi. A ty grasz? — zapytał nagle.

— Jak żyję, nie grałem!... Mogę powiedzieć o sobie to, co pewien mędrzec: nie piję, nie palę, nie gram w karty, nie...

Ale poczciwy rejent znowu schwycił mnie w objęcia i znowu zawołał:

— Zazdroszczę twoim rodzicom... Jakże chciałbym mieć podobnego... siostrzeńca...

Z przerwy, jaką zrobił rejent, odgadłem, że nie chodziło mu o siostrzeńca, ale... zupełnie o kogo innego... Toteż czułem się jak nowonarodzony. A gdy weszliśmy do bufetu, zjadłem dwa spore kurczęta na zimno i głęboki talerz sałaty.

— No... no!... — mówił rejent — jeżeli w waszym banku wszyscy urzędnicy tak chorują, to chciałbym być...

— Naszym akcjonariuszem?... — zapytałem.

— Nie. Waszym urzędnikiem — odparł rejent.

— A jednak — rzekłem — jeszcze onegdaj byłem naprawdę ciężko chory i kto wie, czy nie bardziej rozdrażniony aniżeli pan... Ale trafiłem na genialnego doktora, który jako lekarstwo zapisał mi podróż rowerem, i... do śmierci pozostanę wdzięcznym temu wielkiemu lekarzowi...

— Ho!... ho!... — zaśmiał się rejent.

— Tak, panie. Mądra rada tego człowieka powróciła mi równowagę ducha, sen, apetyt!... A nade wszystko... umożliwiła mi znajomość z panem...

Lecz ponieważ rejent niespokojnie położył obie ręce na wypchanych bankocetłami piersiach, więc szybko dodałem:

— Ja tak lubię wieś, tak zawsze pragnąłem poznać kogo na prowincji, ażeby choć raz... dwa razy na rok...

— Co to dwa razy!... — przerwał rejent. — Dwadzieścia dwa razy, i jeszcze w tym roku musisz nas odwiedzić w Kulfonowie. Pejzaż tam nieszczególny, ale zobaczysz, jak będą ci wdzięczne moja żona... córka... za to, że ocaliłeś im ojca... Chciałem zjeść jeszcze jedno kurczę na zimno, ale — już nie było...

IX

Staliśmy w Warszawie dopiero o ósmej wieczór. Ja w tej chwili wynająłem dorożkę i z poczciwym rejentem tudzież z popsutym rowerem popędziliśmy co koń wyskoczy do rejenta Łabińskiego. Mój przyszły teść, zacny Wierzgajło, co chwilę zapytywał mnie: czy naprawdę wysłałem ze stacji depeszę do Łabińskiego?... czy jestem pewny, że depesza doszła?... i czy opinia publiczna zgodziłaby się na to, ażeby surowy wierzyciel wystawił na licytację rodowy majątek Jarzębinów Przewracalskich?... Widocznie w kochanym staruszkę, pomimo bromu, znowu rozigrały się nerwy. Ale ja pytań i wątpliwości jego słuchałem tylko jednym uchem, uwagę moją bowiem zajął przedmiot na pozór błahy, a jednak dokuczliwy.

Na koźle obok dorożkarza stał mój rower; na jego kierowniku huśtała się ceratowa torebka, a w niej żyłasta szynka i zakalcowate bułki, które dziś z rana wywiozłem z Warszawy.

Ach! gdyby kto wiedział, jak mi obmierza i ta szynka, i te nieszczęsne bułki... Po prostu — czułem wyrzuty sumienia, że nie oddałem tych produktów jakiemu biedakowi, których napotykałem w drodze... Zresztą nawet znalazłszy się na stacji, jeszcze mogłem zrobić z nich prezent pijaczynie Walkowi, a choćby Jędrkowi... no i nie zrobiłem... I wiozę z powrotem do Warszawy ten nędzny ochłap, który po dziesięciogodzinnym pobycie na świeżym powietrzu może cuchnąć...

O, gdybym mógł szynkę i bułki wyrzucić na ulicę... Ale czy podobna pozbyć się tej zmory wobec mnóstwa przechodniów? Dorożkarzowi także ofiarować tego nie mogę, ponieważ obrazi się na mnie i zwymyśla... O niegodziwa Róziu, coś ty mi narobiła!...

Kochany Łabiński czekał na nas w kancelarii i powiedział, ażebyśmy przyszli z pieniędzmi nazajutrz o dziewiątej rano, a sprawa z wierzycielem będzie załatwiona. Gdy mu zaś napomknąłem o obawie rejenta Wierzgajły, że wierzyciel z powodu niestawienia się dziś o szóstej mógł zerwać układy i przystąpić do licytacji majątku Przewracalskich, Łabiński obraził się.

— A cóż to kolega myślisz — zwrócił się do Wierzgajły — że my, w Warszawie, nie potrafilibyśmy obronić uczciwego człowieka od krzywdy, choćby się o kilka godzin spóźnił?... Tyle jeszcze mam zaufania do kolegi, że w razie potrzeby sam założyłbym za was...

Wierzgajło był tak rozczulony, że o mało znowu nie rozplakał się. A gdy wsiadłszy w czekającą na nas dorożkę jechaliśmy ku memu domowi, staruszek ściskając mnie za obie ręce rzekł:

— Kochany Fitulski, taką masz dla mnie szczęśliwą rękę, że jestem zdecydowany...

„Wydać córkę za ciebie...” — pomyślałem, bliski omdlenia z rozkoszy.

— Że jestem zdecydowany — ciągnął rejent — poradzić się u twego lekarza. To musi być naprawdę wielki człowiek, skoro ciebie w jeden dzień wyleczył, i musi być uczciwy, skoro ty tak dobrze mówisz o nim...

Bez dalszych przygód zajechaliśmy do mieszkania. W sieni oddałem rower stróżowi, a następnie wprowadziłem mego przyszłego teścia na drugie piętro z taką ceremonią jak księdza w czasie procesji. Rejent bardzo był zadowolony z oznak czci, jakimi go otaczałem, a gdy weszliśmy do mieszkania — staruszek stanął w progu i parę razy gwizdnął:

— Fiuuu?... Posadzka froterowana... dywan... portiery... Fiu!... Pianino... a jaka szeroka sofa... Kochany Fitulski, czy ja ci tu nie będę przeszkadzał?...

Pytanie tak mnie zmieszało, że doprawdy nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Szczęściem, weszła Różia. Rejent gwizdnął jeszcze raz: „fiuuu!”, co mnie znowu zmieszało. Więc dla przecięcia niemiłej sytuacji, kazałem zrobić kotlety cielece z groszkiem, przynieść marynowanych zakąsek i podać herbatę.

Po saloniku, rejent obejrzał mój pokój sypialny, odczytał tytuły książek w bibliotece i wciąż pogwizdywał. Ale gdy przed kolacją znalazła się stara śliwowica, a po kolacji kieliszek niezłego węgrzyna, staruszek rozłożył ręce i rzekł:

— Mój drogi... ja nie wiem, czy w Warszawie znalazłbym drugiego tak porządnego chłopaka jak ty...

Zarumieniłem się i od niechcienia dodałem, że jego łaskawą opinię podziela jeszcze parą osób, a nade wszystko nasz kasjer główny.

— Lubi mnie — dodałem spuszczać oczy — lubi mnie za to, że co miesiąc odkładam pięćdziesiąt do sześćdziesięciu rubli na oszczędności i że już zebrałem przeszło trzy tysiące dwieście rubli...

— A jaką masz pensję? — zapytał nagle poczciwy rejent.

— Tymczasem mam sto osiemdziesiąt rubli miesięcznie...
Ale pan kasjer główny utrzymuje, że dostanę awans...

— Tysiąc osiemset a trzysta sześćdziesiąt — liczył głośno rejent — to już jest kawałek chleba...

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę przy kieliszku, a wtedy rejent powiedział mi, że jego jedyna córka, Zochna, będzie miała ze czterdzieści tysięcy rubli posagu tudzież murowany dom, piękny ogród i kilkadziesiąt morgów ziemi w Kulfonowie...

Ponieważ staruszkowi już zaczęły kleić się oczy, więc zadzwoniłem na Rózię, ażeby posłała łóżko i sofę. Kiedy weszła, zapytałem gościa drogiego, gdzie będzie spał.

— Chyba pozwól mi spać w twoim pokoju — odparł mrugając okiem i wskazując na swoje piersi wypchane banknotami.

Zgodziłem się z największą chęcią, a następnie wydałem Rózi dyspozycję co do jutrzejszego śniadania. Lecz gdy dziewczyna powiedziała nam dobranoc i wyszła, staruszek nagle rozmyślił się i rzekł, że woli spać w saloniku, na sofce.

Przekładałem, że na łóżku będzie mu wygodniej, a w drugim pokoju nawet bezpieczniej z dwudziestoma tysiącami rubli. Ale rejent uparł się, więc musiałem ustąpić i tylko od sieni zamknąłem drzwi na klucz.

— A cóż to? nie były u ciebie drzwi zamknięte?... spytał rejent, widocznie zaniepokojony.

— Owszem, tylko że... są zamknięte na zatrask... Ale ponieważ pan życzy sobie nocować tutaj, więc dla bezpieczeństwa...

Trzeba było iść spać. Pobożny rejent ukląkłszy przed sofą głośno zmówił pacierz, później zaś, gdy zdjął kamizelkę, wszedł do mego pokoju i pokazał mi na swych piersiach duży plastron, który szeleścił pod palcami.

— Wygląda to, jakby pan miał zamiar fechtować się na szpady — rzekłem.

— Gdzież znowu!... To dziś rano uszyła mi moja żona... Tu jest dwadzieścia tysięcy rubli...

Gdy wrócił do saloniku, zgasił lampę i zasnął jak kamień. Lecz po tym pierwszym śnie, głębokim, spadły na mnie marzenia, chyba najdziwniejsze, jakie miałem w życiu... Śniło mi się, że uzbrojony w rewolwer schwyciłem Olejarka i dwunastu jego współbandytów. Zuchwali mordercy nawet nie próbowali bronić się. Stanąłem tylko przed nimi, spojrzałem i — natychmiast złożyli broń. Nie koniec na tym: jeszcze bowiem przyznali się do wszystkich zbrodni, wskazali miejsce, gdzie mieli ukryte pieniądze, i bez szemrania zdecydowali się iść za mną do Warszawy, kędy czekało ich srogie więzienie.

Był to wypadek poskromienia bandytów tak nadzwyczajny, że wiadomość o nim rozniosły telegrafy po całej Europie i Ameryce. Nasze społeczeństwo postanowiło uczcić mnie wjazdem triumfalnym.

Wsiadłem więc na samochód, a raczej na nową maszynę zwaną „Systemem Fitulio”, jechałem zwolna, a za mną krok w krok postępowała schwyтана przeze mnie banda, z Olejarkiem na czele. Tłumy ludu na ulicach były tak gęste jak na pogrzebie najslawniejszego artysty. Krzyczano, klaskano w ręce, obsypywano mnie kwiatami, a wszyscy złodzieje kieszonkowi zobowiązali się tego dnia nie wyciągać nikomu zegarków i portmonetek.

Byłby to najpiękniejszy dzień w moim życiu, gdybym nie widział, że na kierowniku maszyny wisi moja ceratowa torebka z szynką, która już zaczęła cuchnąć. (Jakie to niedorzeczne sny niekiedy przesładują człowieka!)

Pamiętam, że na rogu każdej ulicy występowała jakaś delegacyjka z mową do mnie; wiem, że mowy były prześliczne, ale — nie rozumiałem żadnej, ponieważ moja uwaga zajęta była przez niegodziwą szynkę i jej mdły, nieznośny zapach...

Na placu Teatralnym zobaczyłem wysoką estradę, na niej kilkaset najpiękniejszych dziewczic z całej Europy, a wśród nich... moją najdroższą... moją jedyną, moją wymarzoną... Z początku zdawało mi się, że to Karolina, ale wnet przekonałem się, że to była Zochna, córka poczciwego rejenta, którą sam los wskazał mi na małżonkę.

Toteż gdy jeden z mówców zapytał mnie, jakiej żądam nagrody za bezprzykładne bohaterstwo — odpowiedziałem wskazując na drogą Zosię: „Oto moja nagroda...”

Już spłonioną dziewczę wyciągnęło do mnie rączkę... już zacna matka podniosła koronkową chustkę do oczu... już ojciec, kochany rejent, wydobył z kieszeni akt, mocą którego wyznaczył sto tysięcy rubli posagu mojej jedynej, gdy wtem...

(Nie!... doprawdy, że nie mam odwagi mówić, co dalej zaszło... Ale ponieważ był to tylko sen... Co za niedorzeczne sny bywają!)

Otóż w chwili kiedy miałem na wieki połączyć się z moją wymarzoną, wystąpił na estradę jakiś siwy jegomość, bardzo podoby do dyrektora naszego banku, i rzekł:

„Wybacz, bohaterze, podziwiany na obu półkulach, ale nie wolno łączyć ci się dozgonnym węzłem z żadną pojedynczą kobietą, a więc i z obecną tutaj panną Zofią Wierzgajło...”

„Jak to?... Co to?” zawołałem oburzony.

„Naród postanowił, że taki jak ty bohater należy do wszystkich kobiet...”

(No, czy słyszał kto kiedy o podobnym śnie?...)

„Do wszystkich?” — zapytałem.

„Do wszystkich młodych i pięknych, ani jednej nie wyłączając. Pojmujesz, czcigodny panie — mówił siwy starzec — że społeczeństwu bardzo zależy na tym, ażeby posiadało jak największą liczbę bohaterów...”

„To prawda!...” — szepnąłem, smutny jak grób.

„Więc poddajesz się pan woli narodu?...”

„Czy aby jesteś pan pewnym, że tej ofiary żąda ode mnie naród?...”

„Spójrz, bohaterze, po tym oceanie głów...” — odparł starzec podobny do naszego dyrektora.

„Żąda tego cały naród?...” — powtórzyłem.

„Jak jeden mąż...”

Rozumiałem, że dalszy opór byłby czynem nieobywatelskim, więc...

Nagle uczułem, że ktoś zerwał ze mnie kołdrę i trzęsie mną wołając:

— Fitulski... bój się Boga!...

Usiadłem na łóżku... Pokonanie Olejarka i dwunastu bandytów, triumfalny wjazd do Warszawy, wreszcie niemające sensu zmuszanie mnie do wielożeństwa — wszystko to był sen... W rzeczywistości stał obok mnie rejent ze świecą w ręku, odziany w swój plastron...

— Co się stało? zapytałem czując, że serce we mnie zamiera.

— Ktoś puka i chce otworzyć drzwi — szepnął wylekniony rejent.

— Chce otworzyć? — powtórzyłem. — Aj, do diabła!... Niech pan zostanie w moim pokoju...

— Wybiegłem do saloniku, z saloniku do przedpokoju, w przedpokoju otworzyłem zamek, potem zatrzask... Ale w sieni nie było nikogo. Odetchnąłem.

— Nic nie ma!... — rzekłem do rejenta. — Może śniło się panu dobrodziejowi pukanie?...

— Co mi się miało śnić?...Ja wcale nie spałem i wyraźnie słyszałem, że ktoś z tamtej strony jakby wkładał klucz do zatrzasku...

Aż złapałem się za głowę... Bodaj piorun spalił taką robotę!... Potem zakląłem rejenta, ażeby położył się, zapewniłem, że nic mu

nie grozi, że drzwi są doskonale zamknięte i że pukali zapewne chłopcy od szewca, który tu mieszka na poddaszu...

— Damże ja im!... — irytował się rejent. — Znam komisarza tutejszego cyrkułu i opowiem mu, co za łajdaki mieszkają w tym domu... Wynajdzie on tych chłopców...

— Ależ na miłość boską, niech im pan rejent przebaczy... To głupie dzieciaki, a gdy raz zwrócą na siebie uwagę policji, mogą być zgubieni...

Starowina uspokoił się i nareszcie zasnął, ale ja przez parę godzin nie zamykałem powiek, a chwilami zdawało się, że znowu grozi mi bezsenność.

O wpół do ósmej z rana, stosownie do mego polecenia, Różia przyniosła nam na śniadanie: czekoladę, herbatę, szynkę i jaja na miękko. Poczciwy rejent nie mógł odchwalić się, że mam taką punktualną, zręczną i nawet bardzo przystojną pokojówkę. Ale ja odpowiedziałem oschle, że to nie moja, tylko mojej gospodyni służąca, na Rózię zaś patrzeć nie mogłem. Tak mi obmierzła za wczorajszą szynkę, bułki i wiele innych nietaktów.

Jak przepowiedział Łabiński, o dziesiątej kwestia spłacenia długu Jarzębinów Przewracalskich została załatwioną. Wierzyciel z początku wyglądał ponuro, następnie jednak udobruchał się i powiedział:

— Czekałem tak długo i cierpliwie tylko przez szacunek dla rejenta Wierzgajły. Bo gdybym miał sprawę z jego siostrzeńcem, już od paru dni rozpocząłbym starania o licytację... A rejent dobrodziej niech pilnuje panicza, bo wam cały majątek przegra w karty...

Mówiący to jegomość był otyły, czerwony, nosił brudny surdut, a na karku miał grubą fałdę. W ogóle nie podobał mi się. Uściskawszy Łabińskiego, wprost z kancelarii zawiozłem przyszłego teścia do doktora, który tak prędko i szczęśliwie mnie wyleczył. Genialny lekarz bardzo starannie opukał, obsłuchał i wypytał rejenta i w rezultacie przyznał mu, że jest trochę

rozdrażniony. Recepty jednak nie dał żadnej, tylko kazał wyjechać na sześć tygodni, dla odpoczynku, do Nałęczowa.

Kiedy wyszliśmy od doktora, rozweselony rejent zawołał:

— No, kochany Fitulski, skoro masz urlop na dwa tygodnie, więc zabieram cię do Kulfonowa... Nie słucham żadnych wymówek, żadnych tłumaczeń... nie wykręcisz, się!...

Cóż miałem robić wobec tak serdecznych zaprosin?...

Uściskałem kochanego rejenta i powiedziałem, że mogę odwieźć go i na kilka godzin wstąpić do jego domu. Dłuższą zaś wizytę złożę za kilka dni.

Tym sposobem o godzinie pierwszej siedzieliśmy w wagonie, o drugiej znaleźliśmy się na stacyjce, o czterdzieści wiorst od Warszawy, a w kilka minut później — jechaliśmy starym, wynajętym powozem do Kulfonowa.

— Cóż, Olejarek złapany? — pytał wesoło rejent furmana.

— Ech!... on się tam złapać nie da — odpowiedział łyk kulfonowski. — Ale on już u nas nie będzie...

— Powiesi się psubrat?...

— Ni... Tylko napisał do samego naczelnika, że już bać się nie potrzeba, bo on wyjedzie do Ameryki... Na takie prześladowanie — pisał — nie głupim tu siedzieć...

— Słyszałeś pan? — rzekł do mnie rejent. — Rabuś i morderca narzeka na prześladowanie!....

— Bo i pewno — wtrącił furman. — Już ze dwa dni na wszystkie strony go ścigają jak zająca... Świętej cierpliwości potrzeba, żeby to wytrzymać.

— Słyszałeś, Fitulski!... znowu zawołał rejent i począł wyklądać furmanowi, że Olejarek jest to taki zbrodniarz, którego powinno się nie tylko ścigać, ale rozstrzelać, powiesić i upiec na wolnym ogniu.

Ale ja nie słuchałem tych dowodzeń, pogrążony w myślach o czekającym mnie szczęściu. Za parę godzin zobaczę i bliżej poznam tajemnicze dziewczę, które po raz pierwszy ujrzałem w

miasteczku, ale znałem od dawna w tych krainach, kędy człowiek jest czystym duchem, a duch — bezgraniczną miłością.

I co za nadzwyczajny zbieg wydarzeń!... Choroba nerwowa... zalecenie doktora, ażebym leczył się spacerami za Warszawę... spotkanie na jarmarku. A potem — zepsucie roweru... okrucieństwo chłopca... spotkanie z rejentem i zawarcie z nim dozgonnej przyjaźni. A ile razy on już nazwał mnie synem... ile razy uściskał mnie i ja jego... Zaprawdę, że był to chyba najcudowniejszy zbieg wypadków, jaki kiedykolwiek zdarzył się na kuli ziemskiej!...

Anim spostrzegł, kiedy przejechaliśmy kilkanaście wiorst i na horyzoncie ukazały się domy Kulfonowa. Przeważnie były drewniane, kryte gontem, tu i owdzie jednak przeglądały blaszane dachy i ściany z tynku.

Na przedmieściu, obok stodół krytych słomą, rejent pokazał mi wysoką kupę gruzów.

— Historyczne to miejsce! — rzekł. — Tu przed kilkunastoma laty zaczęto kopać studnię, w której na głębokości pięciu łokci studniarz ugrzązł w kredowym błocie. Zapadał się przez trzy godziny, ludzie rozmawiali z nim, mówili z nim pacierz, nawet podawali wódkę za pomocą sznura, ale jego samego uratować nie potrafili... Utonął w gęstym błocie, w obecności kilkuset osób, w biały dzień.

— Nieprawdopodobne! — zawołałem zdumiony.

— A jednak prawdziwe. Wypadki tego rodzaju stanowią ilustrację naszej energii, przytomności umysłu... czy ja zresztą wiem czego jeszcze?

Zajechaliśmy przed dom murowany, z gankiem spowitym w dzikie wino. Rejent żwawo zeskoczył z bryczki. Na ganku ukazała się dama w szarej sukni, z siwymi włosami i miłą twarzą, na której było znać ślady piękności.

— Patrz, Maryniu! — zawołał rejent — oto jest Fitulski, człowiek, który w ciągu dwu dni więcej złożył mi dowodów przyjaźni aniżeli inni przez dziesięć lat...

A gdy dama patrzyła na niego trochę zdziwiona, dodał:

— Fitulski, Maryniu, wczoraj konwojował mnie do stacji, pocieszał w strapieniu serdeczniej aniżeli najbliższy krewny, pomagał mi załatwić interesy, dał mi nocleg i karmił mnie w swoim domu... Przyjmijże go jak... kuzyna...

Mogę powiedzieć, że słuchając tych pochwał, rumieniłem się od stóp do głów. Ale milczałem, gdyż serce było przepelnione oczekiwaniem mojej najdroższej, mojej jedynej, mojej wysnionej... Zdawało mi się, że widzę przez drzwi jej słodką twarzączkę, jej ciemne włosy, jej niewinny uśmiech, jej spojrzenie wesołe i pytające...

Weszliśmy do przedpokoju, gdzie zdjąłem palto, a następnie do jasnego saloniku. Nagle osłupiałem... Zdawało mi się, że marzę na jawie...

— Mój serdeczny przyjaciel Fitulski — mówił rejent — moja córka Zofia...

Przede mną stała w białej sukni prześliczna panna: wysoka, zgrabna blondynka z niebieskimi oczyma i wyrazem niezwyklej powagi w obliczu... No, jednym słowem: zachwycająca panna, która przecież ani jednym rysem nie przypominała mojej ukochanej, mojej wymarzonej. Tamta panienka, którą widziałem na koźle powozu, którą na wieki pokochałem w czasie jarmarku, tamta wyglądała całkiem inaczej!...

— Musisz zabawić gościa, kochana Zosiu — odezwała się pani rejentowa. — Ojciec, widzę, od razu pobiegł do kancelarii, a ja zajmę się obiadem...

Przecudna panna Zofia lekko zarumieniła się, ale rzekła do mnie pewnym głosem:

— Podobno najłatwiej ludzie zaznajamiają się ze sobą na spacerze, więc chodźmy do ogródka...

I popłynęła naprzód jak nieziemskie zjawisko, a ja za nią — odurzony, rozmarzony, pełen wahań i bolesnych przewrotów... w duszy...

W ogrodzie było mnóstwo drzew owocowych, a wszystkie kwitły. Panna Zofia spomiędzy grusz pokazywała mi diuszesy, bery, kalebasy, winiówki, ananasówki... spomiędzy jabłoni: renety, kosztele, oliwki, kalwile, glogierówki... Ale ja nie tylko nie odróżniałem ich, lecz wcale nie widziałem.

— Pana chyba to nie zajmuje? — zapytała nagle cudna dziewczica.

— Przeciwnie, pani — odpowiedziałem, prawie nie panując nad sobą. — W najwyższym stopniu zajmuje mnie każde słowo pani, każdy ruch jej rączki... Zdaje mi się, że już nawet pokochałem drzewa, o których mówi pani z takim zamiłowaniem. Ale myśl moja zajęta jest czym innym. I może nie obrazi się pani, jeżeli wspomnę o rzeczach nie mających związku z ogrodnictwem....

— O ile zrobi to panu przyjemność — odpowiedziała zapłoniona jak róża.

(Czułem, że porywa mnie natchnienie...)

— Czy nie wydaje się pani dziwnym — zacząłem — taki zbieg wypadków. Młody człowiek, zdrowy przez całe życie, nagle dostaje przypadłości nerwowych... Traci apetyt, chęć do pracy, nie sypia, unika ludzi i tylko marzy... tylko czeka na ukazanie się istoty, której nigdy w tym życiu nie widział...

Panna Zofia, aby ukryć pomieszanie, ukłękła i zaczęła rwać fiołki. Lecz słuchała...

— Człowiek ten poszedł do doktora, który uznał go zupełnie zdrowym, ale jego nerwowe niepokoje uważał za objaw niezwykły. „Są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom” — powiedział doktor do pacjenta i kazał mu wyjechać jak najdalej za miasto na spacer. „Może tam — mówił doktor —

może na łonie czystej natury znajdziesz pan ukojenie swych cierpień, na które sztuka lekarska nie ma środków...”

(Zeznawałem przed sobą, że opowiadanie moje nie jest zbyt ścisłym: był to jednak dowód, że staję się poetycznym.)

— Stosując się do rady genialnego lekarza — mówiłem dalej — chory pojechał dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści wiorst za Warszawę... Nagle pęka mu rower... podróżny o mało nie traci życia... A gdy omdlały z bólu odpoczywa pod krzyżem... przeznaczenie zsyła mu zacnego starca, który nie tylko wyciągnął do niego dłoń pomocy, ale jeszcze zaprosił... przywiózł do swego domu, gdzie stęskniony, złamany życiem podróżnik spotyka osobę... Nie!... spotyka anioła, którego widywał w marzeniach, oczekiwał w niepokojach, wyrывał się do niego w samotności... Od tej chwili podróżnik odzyskał sen, spokój, nawet szczęście całego życia. Ta, której szukał...

Zosia podniosła się z klęczek i rzekła:

— Może teraz pójdziemy do pokoju?...

— Pani... ten zrozpaczony, a jednocześnie najszczęśliwszy z ludzi...

— Słyszę doktora Biedrońskiego — przerwała mi czarująca istota — musimy tam iść...

— Pani... brakuje mi słów na wypowiedzenie uczuć... Jeżeli jednak nie obraziło cię moje zuchwalstwo, jeżeli nie jestem ci wstrętnym... racz mi dać na pamiątkę jeden z tych fiołków... jeden... jedyny...

Moja najdroższa... moja wymarzona... moje ukochanie... wzięła garstkę fiołków i, podając mi je, rzekła:

— Za to, że pan wczoraj pocieszał i uspokoił tatusia...

Najmilsze w życiu kwiatki schowałem do pugilaresu.

— Aniele! — szepnąłem, a Zosia pobladła.

W tej chwili wszedł do ogrodu szpakowaty jegomość, ruchliwy, ale niezgrabny i szorstki, z dużymi wąsami, nieogoloną

brodą, podobny do ekonoma na małym folwarku. Zobaczywszy nas, zawołał:

— Zabieram pana warszawiaka do siebie!... Ty, Zochna, idź, pomagaj matce, a ja pokażę panu moje muzeum... Jestem Biedroński, tutejszy konował, przez grzeczność nazywany lekarzem...

— Fitulski! — odpowiedziałem, dosyć obojętnie ściskając podaną mi rękę.

Byłem zły jak szatan... Także miał kiedy przywlec się nudny doktor i ciągnąć do jakiegoś tam muzeum, które mnie nic nie obchodzi. No, ale trudno. Jeżeli moja najdroższa musi pomagać matce... Zresztą nacieszę się nią do końca życia...

Kiedy wyszliśmy na błotnistą ulicę, doktor zaczął wymachiwać rękoma i mówić:

— Panowie warszawiacy nazywacie Kulfonów obrzydliwą dziurą. Ale żaden nie zada sobie fady, ażeby sprawdzić, czy to jest naprawdę dziura i czy zawsze była taką... W moim nic nieznaczącym muzeum szanowny warszawiak znajdzie: kamień z bruku, jaki istniał w Kulfonowie jeszcze w XVII wieku, hak, na którym wieszano złodziei, plany dwu łaźni z XVI wieku, z których dziś nie pozostało ani śladu nie tylko na gruncie, ale nawet w zwyczajach ludności... Posiadam też rozmaite dokumenty świeckie i kościelne, a między innymi zabawny wyrok w sprawie o wiarołomstwo. Upewniam szanownego warszawiaka, że dziś żaden trybunał nie zdobyłby się na podobne rozstrzygnięcie kwestii. Albowiem: wiarołomnej żonie kazał ówczesny sąd wyliczyć dwadzieścia różeg, uwodzicielowi — siedemdziesiąt pięć.

— Oj!... oj!... — syknąłem na myśl o cierpieniach i kompromitacji biednego człowieka.

— A mężowi — ciągnął doktor — mężowi, który pozwolił na wiarołomstwo, kazano...

— Może wypłacić odszkodowanie? — zapytałem z ironicznym uśmiechem.

— A tak, właśnie... kazali mu odliczyć pięćdziesiąt różeg.

Nie wiem, dlaczego przygoda męża była mi całkiem obojętną.

— Oto nasz dom — rzekł lekarz i zatrzymał się na widok zapłakanej baby, która biegła naprzeciw niemu. — Czego to, Wawrzyńcowa? — zapytał.

— O la Boga! — zawołała kobieta — a dyć niechże się pan doktor zmiłuje i podejdzie do mego...

— Co się stało?...

— Rznął mój sieczkę, o teraz, o... i tak sobie rękę zarznął, że mu chyba wszystkie palce odleciały...

— Bodajże ci trąba spuchła! — mruknął lekarz i pociągnął mnie do sieni swego domu. — Haniu!... Hanko!... — zawołał — przyprowadziłem gościa... Zajmij się nim, bo ja muszę pędzić do tego osła Wawrzyńca...

Doktor zniknął we drzwiach na lewo, a ja... skamieniałem... We drzwiach z prawej strony, odziana w szarą, płócienną sukienkę, stanęła... ta sama niebiańska dziewczica, którą pierwszy raz ujrzałem podczas jarmarku, siedzącą na koźle!...

— Niechże pan pozwoli do pokoju — odezwała się głosem, który pozbawił mnie reszty przytomności.

Był to salonik, ozdobiony meblami obitymi amarantowym utrechtem. Lecz na stole, przykrytym serwetą szydełkowej roboty, zobaczyłem kilkanaście rzadkich i gęstych grzebieni, tyleż kawałków żółtego mydła i ze sześć sztuk różnokolorowych wstążeczek.

Ponieważ ciągle milczałem jak posąg zdumienia, więc moja zachwycająca... moja ukochana gosposia zaczęła udzielać mi objaśnień.

— Dziwi pana. ten materiał?... Ja myślę! — mówiła dźwięcznym głosem, który sięgał mi do dna duszy. — Otóż widzi

pan, papuś chce tutejsze dzieci przyzwycząić do tego, ażeby się choć raz na miesiąc kapały. Papuś zbudował dla nich łaźnię, gdzie ja dozoruję dziewczynki, a nasz felczer chłopaków. Które z dzieci dobrowolnie co tydzień przychodzi do kąpieli, otrzymuje za piątym razem grzebień rzadki albo gęsty, stosownie do potrzeby... Po dwu kąpielach każde dziecko dostaje kawałek mydła do domu, a za trzy kąpiele — chłopcy otrzymują ołówki, a dziewczęta wstążeczki... Ale czego pan tak na mnie patrzy? — zapytała trochę zmieszana.

— Czy pozwoli mi pani — rzekłem — opowiedzieć historię, do której nie będą wchodziły ani grzebienie, ani nawet łaźienki?...

— Pan myśli, że my takich historii nie opowiadamy sobie? — odparła. — Po całych dniach mówimy tylko takie; a naszymi małomiasteczkowymi zajęciami bawimy warszawiaków, ponieważ chcemy uchodzić za działaczki społeczne...

— Aniele! — szepnąłem.

Hania spojrzała naprzód na mnie, potem na drzwi drugiego pokoju i odrzekła najnaturalniejszym tonem:

— Zdawało mi się, że pan mówi do kogoś, a tu jest nas tylko dwoje...

Odczułem ironię w tych słowach, ale mówić musiałem. Niekiedy strumień uczuć jest tak gwałtowny, że porywa i unosi człowieka, choćby go miał rzucić w przepaść...

— Czy zechce pani wysłuchać zadziwiającej historii?...

— Ach, owszem, ja bardzo lubię straszne historie! — zawołała panienka, a w jej oczach zapaliły się iskry ciekawości. — Może siądziemy?...

(Uczułem, że skrzydlaty rumak poezji unosi mnie za światy...)

— Znam pewnego młodego człowieka... zacząłem. — Dość przystojny, względnie zamożny, mający przed sobą karierę... Koledzy szanują go, zwierzchnicy ufają mu... I nie można powiedzieć, ażeby nie cieszył się życzliwością płci pięknej...

— O, to musi być dobry człowiek! — wtrąciła Hania. — Kobiety lubią tylko dobrych...

— Krótko mówiąc, znajomy mój posiada wszystkie warunki do szczęścia, a jednak szczęśliwym nie jest... nie był, chciałem powiedzieć...

— Biedak — westchnęła Hania. — Pewnie mu ktoś umarł... U nas od czasu śmierci mamy także uciekło szczęście...

— Młody człowiek, o którym mówię, od dawna jest sierotą, więc już oswoił się z tą niedolą. Obecnie cierpiał z innych powodów: tęsknił... Nie chodził do teatru, koncerty rozstrajały go, unikał liczniejszych towarzystw... Ale nade wszystko widok pięknych i młodych kobiet napęlał go niewymownym smutkiem, czuł bowiem, że tylko jedna mogłaby mu dać szczęście, ale tej jednej, tej oczekiwanej, tej do życia niezbędnej — jeszcze nie spotkał...

— Szkoda, że nie pojechał do wód — przerwała moja najdroższa. — Podobno u wód najłatwiej znaleźć taką wymarzoną...

Każde jej odezwanie się było pełne prawdy i tak naiwne, że chętnie upadłbym jej do nóg...

— W tym roku — mówiłem dalej — kiedy na niebie zaświecił początek maja, kiedy z ziemi wyrzały kwiaty, a wśród gąszczów załkał słowik...

— Ach, jak pan pięknie opowiada! — szepnęła moja jedyna.

— Młody człowiek stał się smutniejszym aniżeli dotychczas. Nadto ogarnął go niepokój, który wzrastał się z dnia na dzień, zwiastując wielkie nieszczęście albo nadmiar szczęścia... W końcu jednak uległ błaganiom przyjaciół, których zatrwożyła jego bladość, błędny wzrok, bezsenne noce...

— Jak to dobrze, że on sypiał z przyjaciółmi!... Gdyby był sam, mógłby się zabić...

— Sypiał sam, ale koledzy odgadli, że jest chory, i gwałtem zaprowadzili go do najslawniejszego lekarza... Doktor zbadał

pacjenta i ze smutkiem odpowiedział, że jest to cierpienie moralne, na które medycyna nie ma lekarstwa...

— Ach, panie, jeżeli on ma umrzeć, to niech pan lepiej nie kończy...

— Niech pani będzie spokojna: młody człowiek nie umarł, ponieważ doktor kazał mu szukać ratunku na czystym łonie natury...

— Pewnie wysłał go do Ojcowa albo do Nałęczowa? — zawołała Hania.

— Nie, kazał mu po prostu co dzień jeździć rowerem kilkadziesiąt wiorst za rogatki... Kiedy młody człowiek wybrał się na pierwszą wycieczkę i kiedy już wynieśli mu rower na ulicę, oparł się o siodelko i z bezdennym smutkiem w sercu pytał: dokąd jechać? po co jechać?... Wtem nad jego głową przeleciał biały gołąb. Młody człowiek wsiadł na rower, podążył za ptakiem i znalazł się na drodze, która prowadziła w te strony... — dodałem ciszej, choć w tej chwili przysiągłbym, że przygoda z gołębiem była prawdziwą. — Przejechał dziesięć wiorst — mówiłem dalej — dwadzieścia... ale tęsknota, zamiast zmniejszyć się, rosła... Nareszcie, kiedy zajechał do małego miasteczka, w którym odbywał się jarmark, i kiedy jego niepokój dosięgnął tych granic, poza którymi czeka nas tylko śmierć... nagle podniósł oczy i ujrzał powóz, a na koźle cudnej piękności dziewczę, na widok której jego serce...

— Pan mówi o sobie! — przerwała mi moja wysniona. — Bo ja przypominam sobie, że widziałam pana wczoraj na jarmarku...

— Pani mnie spostrzegła? — zawołałem, składając ręce.

— Nawet powiedziałam do Zochny Wierzgajłówny: patrz!... patrz, jak ten cyklista jest podobny do Lecha Rzempolskiego... Ale Zochna i jej matka są tak wytworne, że nigdy nie oglądałyby się za żadnym mężczyzną... Zresztą powóz ruszył...

— Powóz ruszył i zostawił mnie w rozpacz, którą ukoić może tylko śmierć... Na szczęście, wdało się w to przeznaczenie, zbliżyło mnie z panem rejentem, którego nie znałem dotychczas, i...

— Pan wierzy w przeznaczenie? — zapytała moja najdroższa, moja wyśniona.

— Jakże nie mam wierzyć?... Czyliż moje tęsknoty, moja choroba, przepis lekarza, spotkanie wczorajsze z panią w miasteczku, a wreszcie to, że dziś mogłem opowiedzieć pani moją historię...

Hania pokręciła cudną główką.

— Mnie się zdaje, że ja nie powinnam słuchać tej historii — rzekła bawiąc się kawałkiem różowej wstążeczki.

— Ale wepchnąć mnie na dno rozpacz powinna pani? — zapytałem.

— Proszę pana, skończymy to...

— Ale pani nie pogardza mną?... nie nienawidzi?

— Ależ nie!

— Dziś muszę wracać do Warszawy pijany szczęściem, ale uleczony z tęsknoty... O, gdyby pani dała mi jaki talizman, choćby ten kawałek wstążeczki, do której ma prawo każda dziewczyna...

— Owszem, ale pod warunkiem, że co tydzień będzie się pan kąpał — odparła, podając mi bezcenny upominek.

— Bóstwo moje! — szepnąłem.

— Ach, Boże! — westchnęła — jak to przypomina stare powieści.

Wyjąłem pugilares i, otworzywszy go, ażeby schować drogą wstążeczkę, znalazłem pęczek fiołków, które przed pół godziną darowała mi Zosia.

Muszę wyznać, że w tej chwili jakby drgnęło we mnie złe przeczucie. Ale ponieważ wszedł rejent i zabrał mnie na obiad, więc nie miałem czasu bliżej zastanowić się nad sytuacją.

— A ty, Haniu — zawołał rejent z ulicy — najpóźniej za godzinę przyjdź z ojcem na czarną kawę... Bo nasz kochany gość chce dziś uciekać do Warszawy...

Potem wziął mnie pod rękę i zaczął coś opowiadać o pogodzeniu rodziny chłopskiej kłócącej się o spadek po ojcu. Ale ja w tej chwili nie miałem ani czasu, ani chęci przysłuchiwać się jego anegdotom, zajęty niesłychanymi wydarzeniami.

Co tu robić?... Droga Zosia, a szczególnie jej ojciec w niedwuznaczny sposób okazywali mi życzliwość. Pół godziny temu, daję słowo, byłem gotów żenić się z Zosią; uważałem bowiem, iż los ją wskazał mi na małżonkę... Lecz teraz, gdy odnalazłem moją tajemniczą nieznajomą z jarmarku w osobie Hani, gdy obok czarujących wdzięków poznałem jej szczerotę i prostotę, w tej chwili słodki obraz Zosi nie tylko zbladł mi w duszy, ale nawet zacząłem pytać samego siebie: czy ona była kiedy tą moją jedyną i wyśnioną, którą kochałem pierwszą i ostatnią miłością?... Czy ja naprawdę ją kochałem?

Okropne położenie!...

Walka tocząca się w mojej duszy uległa nowemu zaostreniu. Gdy bowiem znalazłem się w domu rejenta, gdym spojrzał na Zosię, która obrzuciła mnie poważnym i rozmarzonym wzrokiem, ocknęły się we mnie wątpliwości. Jużci, w łagodnej fizjonomii, w królewskiej postawie i ruchach pięknej Zofii jest coś, co w moim sercu budzi przedbytowe wspomnienia. Ja nie mogę obojętnie traktować tej niebiańskiej istoty, która nigdy... nigdy... nie była mi obojętną.

A kiedy siedliśmy do obiadu, kiedy najdroższa dziewczyna wybierała dla mnie najlepsze kaski, gdy rumieniła się na każdą moją uwagę, musiałem zapytać sumienia, czy ja w rzeczy samej kocham Hanię i czy moje uczucie dla niej nie jest zwykłym hołdem, jaki mężczyzna składa każdej pięknej kobiecie?... Co robić?... co robić?... Co za niesłychana sytuacja!...

Obiad skończył się, a ja przypomniawszy sobie, że niebawem doktor przyjdzie z Hanią, zapytałem swego serca, jak powinienem zachowywać się wobec tych dwu tyle drogich mi, a tak różnych kobiet?... Która z nich powinna zostać moja małżonką, a która siostrą?... choć nie wątpiłem, że obie były dla mnie siostrzanymi duszami.

Kto zresztą wie, czy w przedbytowej krainie owa doskonała istota, zwana przez poetów „Androgyne”, składa się nie z dwu, lecz z kilku dusz ludzkich: jednej męskiej i dwu lub więcej kobiecych?

Gdyby tak było, gdyby fizjologia zdarła kiedyś zasłonę z tej tajemnicy, nasze dzisiejsze pojęcia o miłości i małżeństwie musiałyby się bardzo zmienić!

Kiedy w takich tonąłem myślach, odezwał się nagle rejent:

— Oho, coś się stało!... idzie doktor sam i jakiś rozhukany...

— Nie lubię tej jego miny — dodała rejentowa.

— Doprawdy, że pan doktor wygląda na rozdrażnionego — wtrąciła spokojnym głosem moja najdroższa, moja wyśniona Zosia.

W tej chwili wpadł doktor. Jego ruchy były gwałtowniejsze i bardziej szorstkie, aniżeli kiedyś widział go po raz pierwszy.

— Witam państwa... witam! — zawołał, nikomu nie podając ręki. — Moja Zochno, może wpadłabyś na chwilę do Hani, bo ona cię bardzo potrzebuje...

— Stało się jej co? — zapytała blednąc Zosia.

— Tak... tak... Ale to nic wielkiego... Trochę sparzyła się...

— Boże... Boże! — szepnęła Zosia.

— Mówię ci, że to nic — odparł doktor. Idź do niej natychmiast i powiedz, że i ja zaraz wrócę...

Zosia wybiegła. Rejent z żoną niespokojnie spojrzeli po sobie.

Doktor parę razy przeszedł się po pokoju, coś mruzczał, machał rękami... Nagle stanął przede mną i szorstkim tonem zapytał:

— Cóż, panie warszawiaku, jak to było z tym rozpaczającym młodym człowiekiem, któremu doktor kazał szukać zdrowia na łonie pięknej natury?...

Zdumienie moje było tak wielkie, że nie mogłem odpowiedzieć ani słowa.

— Milczysz pan?... Więc nawet nie dowiemy się, jak wyglądał ów gołąb, który wskazał panu drogę do nas, do Kulfonowa?...

Milczałem jak posąg gniewu i tylko piorunującymi spojrzeniami karciełem impertynenta.

— Cóż to znaczy, kochany doktorze? — wmieszał się rejent. — Mówisz tak, jakbyś miał co przeciw naszemu gościowi...

— Ta!... ta!... ta!... Piękny gość... Ależ to skończony bałamut, który oświadcza się pannom już w pięć minut po zaznajomieniu się z nimi.

Na twarzy rejeta błysnęło przykre rozczarowanie...

— Skądże ty wiesz, że on się oświadcza... a właściwie... wypowiada uczucia życzliwości?...

Włosy stanęły mi na głowie, tym bardziej że i rejentowej zaczęły drgać powieki. Czyliby i Zosia powtórzyła rozmowę ze mną swoim rodzicom?...

— Jak to, skąd wiem?... Przecież powiedziała mi Hania, że błagował jej o tęsknotach, nazwał ją aniołem, zażądał wiecznej pamiątki...

— No, fiołki nie są wieczną pamiątką... To do niczego nie obowiązuje odezwała się rejentowa.

— Nie fiołki, tylko wstążeczkę wziął od niej...

— Ależ fiołki...

Myślałem, że oszaleję. Więc obie zdradziły moje, że tak powiem, incognito!...

— Panie doktorze — odezwałem się — rozmowy, jaką miałem z córką pańską, którą czczę i podziwiam za jej społeczną działalność, rozmowy tej nie mam potrzeby zapierać się przed nikim... Tak jest, nazwałem pannę Hannę aniołem za to, że opiekuje się biednymi dziećmi, i prosiłem ją na pamiątkę choćby o kawałek wstążeczki, ponieważ nie mam zwyczaju wozić ze sobą sztambuchów ... Jeżeli to uważa pan za obrazę dla siebie, jestem gotów dać wszelką satysfakcję... Adres mój zna pan rejent... A was — rzekłem zwracając się do obojga rejentów — a was, szanowni i czcigodni państwo... żegnam... Raczcie wierzyć, że chwilowa znajomość z wami będzie dla mnie najpiękniejszym wspomnieniem, które poniosę do trumny...

Głos mi zadrżał... Ukłoniłem się rejentostwu, wyszedłem do sieni i schwyciwszy palto wybiegłem na ulicę w stronę poczty.

— Fitulski... stój!... wróć się!... — wołał za mną poczciwy rejent.

Ale ja nawet głowy nie odwróciłem. Serce pękało mi na myśl, co powiedzą o mnie Zosia i Hania, gdy powtórzą między sobą rozmowę, jaką miałem z każdą z nich.

W pół godziny później leciałem ekstrapocztą w stronę stacji, kipiący gniewem na wszystkich doktorów: i na tego z Kulfonowa, i na tego z Warszawy, który kazał mi wyjeżdżać na spacery za miasto. Jak można było proponować tego rodzaju system leczenia i narazić mnie na tak ciężkie nieprzyjemności!

Czy on myśli, że podobna awantura nie rozstroi mi nerwów gorzej aniżeli niesypianie?

Ale i panny z prowincji są też wyborne... Gdybyś jej grzech śmiertelny opowiedział, ona zaraz musi powtórzyć rodzicom!

Bolesław Prus
Ze wspomnień cyklisty

Redakcja:
Hanna Milewska

Projekt okładki:
Marta Sumińska
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-255-5

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl